NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.**
Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.
Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**
Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. Kraków, 13 marca 1915. Nr. 11.

Bohaterski czyn naszej armii.



Kalisz w gruzach.

Kalisz w gruzach.

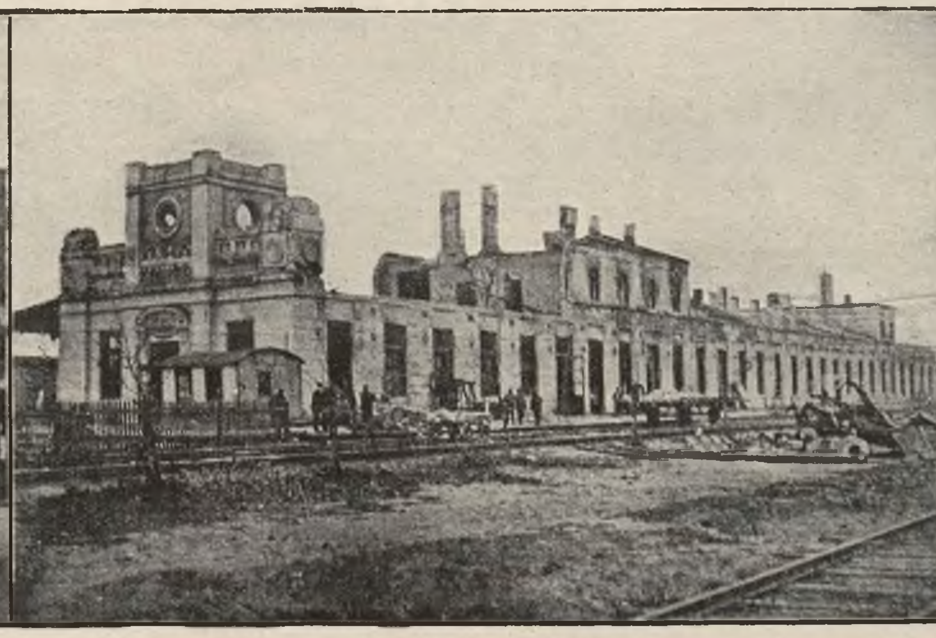
Garść wrażeń z podróży po Królestwie przez **Ludwika Szczepańskiego.**

...W szary styczniowy dzień, około godziny czwartej po południu, wysiadłem z wagonu na dworcu kaliskim, przedstawiającym ruinę, od biedy wyporządzoną i prowizorycznym dachem pokrytą.



Ulica Wrocławska.

Kalisz w gruzach:



Dworzec.

Mając kilka godzin czasu do dyspozycyi, aż do odjazdu pociągu do Łodzi, postanowiłem zwiedzić miasto, o którego zniszczeniu tyle okropnych szczegółów doszło do naszej wiadomości w sierpniu za pośrednictwem dzienników warszawskich.

Dworzec od miasta oddalony jest o trzy kilometry drogi. O dorożce lub wózku mowy nie było; w Kaliszu niema bowiem żadnych koni, jak mnie objaśniono. Ruszyłem piechotą - a jakiś młody żydek, kręcący się koło dworca, widząc, że rozglądam się dokoła, ofiarował mi się na przewodnika. Jakoż powędrowaliśmy razem raźno ku miastu.

Dzień był bezsłoneczny, ale dość pogodny; lekki przymrozek ściął w grudę błoto na szerokim, gliniastym gościńcu, który o innej porze musi tworzyć rzekę błota. Po drodze próbowałem wypytać mego żydka o szczegóły tragedyi kaliskiej, ale chłopak nie umiał mi więcej powiedzieć, jak że „buło bardzo straszno" i że ludzie uciekali i kryli się w piwnicach i byli zabijani...

W pobliżu pierwszych domów przedmiejskich, po gościńcu przechadzał się żołnierz-wartownik.

Gdy podeszliśmy ku niemu, z ust jego padło gromkie:

— *Halt! Zurück!*

I bagnet pochylił się groźnie ku mej piersi.

— *Ja, warum denn?* — pytam zdziwiony. — Ja muszę iść do miasta, bo mam interes do komendy. Dlaczego mi pan zamyka drogę?

Słysząc język niemiecki i biorąc mnie za rodowitego Niemca, żołnierz złagodniał od razu. Wytłumaczył mi, że przez dwie godziny główna ulica jest zamknięta dla cywilnych przechodniów, bo nią przechodzić będą jeńcy rosyjscy, wracający zwykle o tej porze kilkoma kompaniami z roboty do swych koszar.

— A jakże ja dostanę się do miasta?

— Pójdzie pan tamtą drogą na prawo. *Der Umweg ist nicht gross.*



Kalisz w gruzach: Ulica Warszawska.

— Dlaczegóż to usuwa się cywilów, gdy jeńcy przechodzą przez miasto? — pytam mego żydka, gdy skręciliśmy na boczną drogę.

— Bo uni (Niemcy) nie chcą, żeby kto z sałdatami gadał i dawał im papierosy...

Liczne kominy fabryczne sterczały po obu stronach drogi w górę, rysując się ostro na szarem tle nieba, ale żadna smuga dymu nie świadczyła, że warsztaty pracują... We fabrykach większość szyb wybita; życie obumarło, zanikło. Ale domy i domki przedmiejskie, koło których przechodzimy, nie okazywały śladów zniszczenia; po ulicy uwijały się dzieci; tu i ówdzie drobny sklepik zwabia ubogą klientelę widokiem wystawionych w oknie bochenków ciemnego chleba, otwartą paczką świec parafinowych, piernikami i t. p.; przechodnie, których spotykam na ulicy, należeli wszyscy do klasy uboższego mieszczaństwa.

— Nie widzę tu ruin i zwalisk, o jakich mi mówiono — odzywam się do mojego żydka.

— Ajaj, niech pan poczeka, zaraz je zobaczy, skoro wejdziemy w miasto.

Jakoż po jeszcze jednej przeprawie z patrolującym żołnierzem, który także próbował zawrócić mnie z drogi, weszliśmy w ulicę Wrocławską, pryncypalną, obok ulicy Warszawskiej, arteryę ruchu w ludnem ongi, fabrycznem mieście Kaliszu.

Przejęty zgrozą, w osłupieniu stanąłem na środku ulicy, mając po prawej i lewej ręce ruiny i zgliszcza piętrowych i dwupiętrowych kamienic, zburzonych i spustoszonych doszczętnie.

Rzeczywistość rozpaczliwością i grozą obrazu przewyższała wszystkie opisy.

Nie wiem, jak wyglądała Messyna po trzęsieniu ziemi, ale pewny jestem, że widok jej zagłady nie sprawiał tak wstrząsającego wrażenia. Wyobraźcie sobie w Krakowie taką np. ulicę Sławkowską, przy którejby wszystkie kamienice miały zburzone fasady, zgruchotane narożniki, zerwane dachy, poszarpane mury, tak, iżby całe wnętrze domów, pozbawionych ścian, dzielących pokoje i sufitów, odsłaniało żałobną, potworną pustkę, a będziecie wiedzieli, jak wyglądają w Kaliszu ulica Wrocławska, Warszawska i inne. Całe śródmieście jest jedną ruiną.



Kalisz w gruzach: Ulica Wrocławska.

Tu i ówdzie n. p. przy ul. Warszawskiej stoją jeszcze ściany frontowe trzypiętrowych kamienic, ziejąc pustymi oczodołami okien, które wylizały języki ognia i okopcił dym czarnemi smugami; jeszcze zwieszają się z pięter balkony, pogruchotane szyldy sklepów głoszą w rosyjskim i polskim języku nazwiska właścicieli, ale wewnątrz gruz i rumowisko leży na wysokość człowieka, sięga niekiedy po pierwsze piętro...

Kalisz nie istnieje.

To, co zostało — to cmentarz miasta. To ruiny, których odbudowa jest niemożliwą. Trzebaby



Żołnierze Polacy w szpitalach monarchi: Grupa Polaków w szpitalu wojskowym w Eggenbergu W pośrodku dr. Borysiewicz i pielęgniarki.



Z Legionów: Szczepienie ospy (dr Julia Świtalska) i dentysta przy pracy.

sterczące nagie szczątki murów do reszty zwalić, rumowisko usunąć do fundamentów — i dopiero potem dźwigać nowe siedziby... Czy i kiedy powrócą nieszczęśni mieszkańcy, którzy nie uratowali nic prócz życia i o kiju żebraczym poszli w świat, szukać schronienia w Warszawie, Kijowie, Wilnie i Moskwie? Kto i kiedy dostarczy milionów na odbudowanie miasta? W bogatej Belgii, której po wojnie cały kulturalny świat pospieszy z pomocą finansową, może rychło dźwigną się z gruzów mury dwudziestu, podobnie jak Kalisz zniszczonych miast; a kto nam dopomoże?

Może Kalisz pozostanie na długie lata osobliwością polską, na której wojna Baltazara głoskami wypisała wyrok i do której ludzie pielgrzymować będą, jak wędrują ciekawie do Pompei i Herkulanum? A istotnie, patrząc na gruzy mniejszych domów, miałem wrażenie, jakobym znajdował się w jakiejś uliczce owych odkopanych cmentarnych miast pod Wezuwiuszem: tak puste i nagie były ściany i wnętrza tych sadyb ludzkich... Tylko nie włoski błękit wyzłacał słońcem ruiny, ale zapadający zmierzch szarego dnia styczniowego okrywał je żałobą, niby łachmanem...

Jakiż to piekielny huragan obrócił te długie rzędy domów w perzynę? W jaki sposób, jakimi środkami wykonany został bezlitosny wyrok zagłady? Nie miałem, spozierając na te gruzy, pojęcia, jak można było dokonać w ten sposób zniszczenia. Bo u wylotu ul. Warszawskiej, zamykając tę ulicę, pośród zwalisk, stoi nietknięta cerkiew rosyjska o białych ścianach i zielonych kopułach. Ostała się ona jedna nienaruszona, gdy całe jej otoczenie w gruzach legło. Tylko na tynku ścian widne były szramy i rysy od kul karabinowych. Jak można było kierować tak granatami, by katastrofa ominęła jeden jedyny uprzywilejowany gmach, który postanowiono oszczędzić?



Z Legionów: Biuro sanitarne stacyi chorych w Jabłonkowie.

Zagadka wyjaśniła mi się, gdy złożyłem wizytę księdzu prałatowi Płoszajowi i z ust tego czcigodnego kapłana (który należał do rzędu 18 zakładników wziętych przez komendanta miasta majora Preusskera i stawionych przed sądem w Poznaniu) usłyszałem historyę zagłady Kalisza.

Gdy Niemcy zaraz po wypowiedzeniu wojny wkroczyli do Kalisza, opróżnionego przez Rosyan, komendę sprawował major Preussker, a w kilka dni później przybył generał v. Wasternagel. Mimo obwieszczeń komendanta, grożących surowemi represaliami, zdarzyły się w mieście podobno dwa czy trzy zamachy rewolwerowe na przechodzących żołnierzy niemieckich. Za drugim razem miasto było ostrzeliwane z karabinów maszynowych, za trzecim razem zbombardowane i przez dziesięć dni z rzędu oddziały żołnierzy paliły i demolowały domy w ulicach. Na szczęście ocalała część Rynku, kościół farny, kilka bocznych ulic i przedmieścia.

Dziś w mieście, które w lipcu liczyło blizko 70.000 mieszkańców, pozostało dziesięć do piętnastu tysięcy, samej biedoty...

Bohaterski czyn naszej armii.

(Do illustracyi tytułowej).

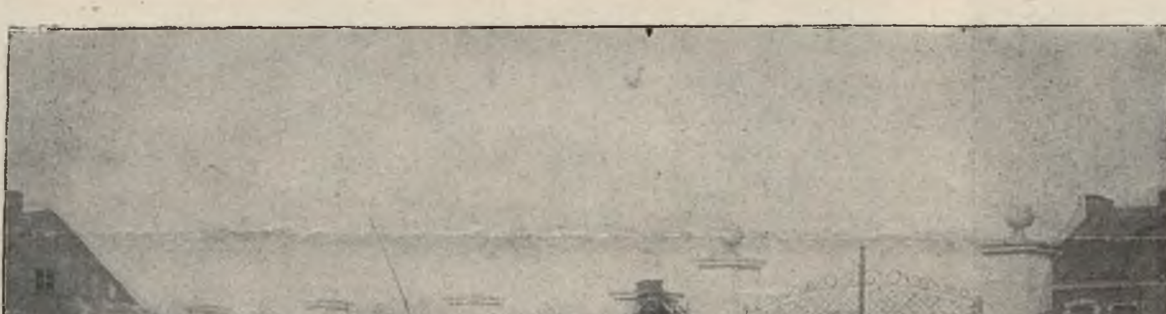
Bohaterskie zmagania się z przeważającemi siłami nieprzyjaciół na wschodnim terenie walki przejdą z czasem do historyi i stanowić będą w dziejach armii austro-węgierskiej jedną z najchlubniejszych kart. Zapał, z jakim szeregi nasze szły na wroga, jest wprost nie do opisania, naoczni świadkowie twierdzą, że każdy, najzwyklejszy żołnierz, to bohater.



Z Legionów: Dr. Kucharski z żoną w ambulatoryum stacyi chorych w Jabłonkowie

Cofa się też nieprzyjaciel, widząc, że mimo liczebnej przewagi nie sprosta armiom sprzymierzonym.

Wawrzyny te jednak, które zdobią sztandary naszej dzielnej armii, okupione być musiały wielu bolesnemi stratami. Moskale widząc, że się na pozycyi nie zdołają utrzymać, stawiali zacięty opór, a punktem kulminacyjnym tych iście homeryckich zapasów było zdobycie Piotrkowa przez 34. pułk piechoty w dniu 16. grudnia ubiegłego roku.



Na ofiary wojny: Wóz, zbierający odzież po ulicach Krakowa, z paniami komitetowemi przed redakcyą „Nowości Illustrowanych".



Z teatru wojny: Rosyjskie rowy strzeleckie pod Łowiczem.

Na ofiary wojny.

W obecnej wojnie groźnym wrogiem jest nie tylko armia nieprzyjacielska, ale także głód, mróz i nędza, przygniatająca swem strasznem brzemieniem całą ludność kraju, w którym toczą się walki. Aby choć trochę ulżyć tym nieszczęśliwym ofiarom wojny, potworzyły się komitety, które starają się zaopatrzyć je w żywność i odzież.

W akcyi tej bierze żywy udział i Kraków, gdzie pod przewodnictwem pp. prezydentowej Leowej i bar. Hagenowej zorganizowano w mieście zbieranie odzieży dla wyrzuconych z swych siedzib ofiar wojny... Odzież tę zbierają specyalne wozy, które pod dozorem pań z komitetu objeżdżają ulice Krakowa, a ludność chętnie i obficie składa te datki w naturze, tak niezbędne dla ofiar pożogi wojennej w obecnej porze zimowej.



Z Legionów: Biuro stacyi chorych w Jabłonkowie.

Z Legionów.

Jak wiadomo, departament wojskowy N. K. N., Komenda placu i instytucye pomocnicze Legionów z początkiem lutego zostały przeniesione do Królestwa Polskiego, na terenie którego rozpoczęły swą działalność. Do tego zaś czasu, od chwili opuszczenia Krakowa, przebywały w Jabłonkowie na Śląsku, gdzie ludność miejscowa z wyjątkową serdecznością oddała swe usługi chwilowo tam przebywającym Legionistom. W okolicy powstały kolonie wypoczynkowe, w których Legioniści, wyczerpani trudami wojny, nabierali sił do dalszej walki.

Dziś Jabłonków opustoszał – znikły szare mundury Legionistów, z którymi tak się już zżyła miejscowa ludność. Rozkaz wyższej władzy przeniósł za dawny kordon to ognisko życia legionowego, z którego podajemy w dzisiejszym numerze kilka illustracyi.



Z Legionów: Urzędnicy sanitarni przed komendą stacyi chorych w Jabłonkowie po pracy.



Z teatru wojny: Zdobyty przez wojska niemieckie na dworcu w Wierzbołowie pociąg sanitarny francuskiej misyi. Między torami przedmioty zrabowane, których uciekający w popłochu Rosyanie nie zdołali ze sobą unieść.

JÓZEF LASOŃ.

Pułk drugi.

(Ze wspomnień Legionisty).

1

VI.

Z końcem września chwilowo przeniesiony zostałem do II pułku, który się wówczas formował w Krakowie. Z żalem rozstawałem się z kolegami, przymaszerowawszy do Krakowa, przydzielony zostałem do XII. kompanii, która wówczas stała na kwaterze w Dębnikach, w szkole męskiej. Przez pierwsze dni ćwiczenia z nowozaciężnymi rekrutami, poczem dostałem się do kancelaryi w randze podoficera rachunkowego. Rozpoczęły się gorączkowe dni pracy, siedzenia przy biurku, spisywania rekrutów, wydawania legitymacyi. Gdy po całodziennych ćwiczeniach przyszło jedną i drugą noc przesiedzieć przy biurku nad monotonną pracą, zatęskniło się za marszem. za życiem polowem. Ale niedługo pozostaliśmy na kwaterze. Po kilku dniach przyszedł rozkaz wymarszu. Przemaszerowała kompania przez Kraków, za kompanią żołnierze w rękach nieśli kotły, prowiant i bagaże. Nie było wówczas jeszcze zorganizowanego trenu. Przyjechaliśmy do Bochni, tam stał III. batalion II. pułku, kapitana Fabrynego, do którego to batalionu przydzielona została nasza kompania. W następnych dniach wymarsz do Wiśnicza, jednodniowe ćwiczenia batalionu, poczem powrót do Krakowa.

Zaiste, dziwnie wtedy wyglądał żołnierz polski. W całym batalionie ubranych w mundur było około dwustu. reszta w cywilnych, starych ubraniach. A nie mogli się doczekać żołnierze na te mundury, tak ich niecierpliwość paliła, gdyż jak najprędzej chcieli się ubrać w mundur — aby na żołnierza wyglądać, a nie na jakiegoś obdartusa.

Raz, pamiętam, przy rannej wizycie lekarskiej stanęło z XII kompanii coś ze dwudziestu chorych.

Lekarz, dr. W., kazał im się rozebrać, poczem przystąpił do badania.

Pierwszy żołnierz badany, chłop jak dąb, pierś wypukła, silna, muskuły, jak u siłacza, skarży się, że piersi bolą, że suchoty zaczynają go brać.

— Gdzie was kłuje? — pyta lekarz.

— Tu, tu — odpowiada akcentem lwowskim, wskazując na lewą pierś.

Bada lekarz, słucha i słucha, piersi zdrowe.

— Tu was boli?

— Tu!

— A gdzie jeszcze?

Pokazuje lekarzowi, że raz tu, drugi raz tam. Lekarz bada, ale nic podejrzanego nie znajdując, zgniewany, rzecze:

— Kłamiecie! Chłop zdrów, jak dąb!

— Ta, panie obywatelu lekarzu! Ta, jak ja mam być zdrów, ta ja nie mam ani butów, ani munduru. Ta, jak ja mam być zdrów, ta ja muszę być chory!

— Tak, to o to wam chodzi? — pyta lekarz, śmiejąc się.

— No, tak!

— Który tam jeszcze taki chory? — zwraca się lekarz do reszty rozebranych.

— Ja! ja! — odzywają się głosy.

Okazało się, że przeszło połowa chorych na buty, na czapkę, mundur i t. p.

— Do kompanijnego zwrócić się przy raporcie — zgniewany lekarz mówi — nie mnie tu głowę napróżno zawracać!

Każdy dzień życia w Legionach, to karta niezapomniana w życiu, która dziś, jak sen, przypomina się, najdrobniejsza nieraz scenka staje przed oczyma, jak żywa, snują się obrazy, jedne mniej, drugie więcej pamiętne.

29. września dostali żołnierze mundury, czapki, buty; wprawdzie nie dla wszystkich starczyło, ale ci, który dostali, uszczęśliwieni byli nadzwyczaj. Zamieniono stare karabiny Werndla na nowiutkie greckie, które lekkością i celnością strzału dorównywały najnowszemu modelowi Manlichera.

Ze środy na czwartek dnia 30 września, o drugiej godzinie w nocy odmaszerował nasz batalion na nowy dworzec towarowy, gdzie we wagonach towarowych poczęto lokować żołnierzy.

Pozostałem jeszcze w Krakowie, aby pakować z kilkoma innymi, przeznaczonymi do trenu żołnierzami, zapasy intendantury. Paowiantów nie było żadnych, rozdano bowiem poprzedniego wieczoru każdemu po bochenku chleba, kawałku kiełbasy i wędzonki. To był cały prowiant na drogę. Niewiadomo było, dokąd właściwie jedziemy i wiele dni będziemy w drodze, tak, że nikt nie myślał o prowiantach kilkudniowych. Każdy był zdania, że jutro będziemy na miejscu.

O szóstej godzinie rano ostatnie nasze wozy przeciągały przez miasto. Opustoszały był Kraków, poszczególne tylko jednostki przesuwały się po ulicach. Wsunąłem się na wóz z kocami, zakopany w nich, obserwowałem śpiące jeszcze miasto.

Przechodnie ciekawie się nam przypatrywać poczęli, niektórzy chustkami powiewali, żegnając polski pułk, który na długie miesiące walki jechał.

Ledwie zdołaliśmy ostatnie fury władować do wagonów, pociąg ruszył. Kilkadziesiąt osób, stojących na peronie, powiewać poczęło chusteczkami, żegnając:

— Cześć! Czołem! Czuwaj! — rozległy się okrzyki.

Rozśpiewała się wiara, w lot pochwycili melodyę stojący na peronie i przepiękna pieśń zabrzmiała:

W dzień wrześniowy i ponury,
Z pod wawelskiej idąc gory
Szeregiem krakowskie dzieci i t. d.

Rozniosła się po dworcu, niezagłuszona hukiem i świstem maszyny, zdająca się dosięgać echem... aż stóp Wawelu... tej przecudownej świątyni wawelskiej... drogiej sercu każdego Polaka.

Z przednich wagonów wysuniętą białą chorągiew z Matką Boską Częstochowską i orłem polskim wiatr począł powiewać, jakby i on pokłonić się chciał polskiej stolicy.

Wyjeżdżamy powoli za Kraków. W oknach domów zbudzeni mieszkańcy stoją, rękami ukłony zasyłają.

A pieśń coraz silniej, coraz piękniej brzmi, daleko roznosi ją echo:

Patrz na tego Manlichera,
Każdy człowiek nie umiera,
A jeśli da Bog i t. d.

Niejedno oko łzą zabłysło, niejednemu myśl posępna przez mózg się przesunęła, ale z piersi jeszcze potężniej pieśń wydzierała się.

Wpakowałem się do wozu towarowego, do pierwszego plutonu. Było nas w wozie około czterdziestu, to trochę, jak na daleką drogę niewygodnie. Rozciągnęliśmy koce i na poczekaniu jakie takie prowizoryczne legowisko zrobiliśmy.

— Obywatelu rachunkowy!

— Co jest?

— Dokąd jedziemy?

— Przed siebie! — odparłem flegmatycznie.

— No, niby tak — roześmiał się szesnastoletni Jan Halitef — ale gdzie wysiądziemy? Mroczkowski mówił, że na Węgry jedziemy, do jakiegoś Munkacza.

— Jak wiecie, co się pytacie!?

— Niby, nie wiem dokładnie — odparł rezolutnie.

Przejeżdżamy przez miasteczka galicyjskie, witani owacyjnie przez publiczność. Wieczorem dojeżdżamy do Cieszyna. Godzinę przeszło pociąg stał, niejeden wyskoczył z wozu ukradkiem, aby coś ciepłego kupić w restauracyi.

Nocą przejeżdżamy przez granicę węgierską i przesuwają się przed nami cudne krajobrazy ziemi węgierskiej. Przedzieramy się tunelem, przebijającym Beskidy zachodnie. Przecudne krajobrazy! Miejscami jedziemy pomiędzy wysokimi szczytami gór, to znów nad rzeką, w skale wykuta droga, którędy tor kolejowy położono. Rozkoszujemy się balsamicznem powietrzem, zapachem świerków i jodeł przepełnionem. Pierwszy to raz w życiu patrzyłem na ziemię węgierską i już na pierwszy rzut oka zdała mi się w bogactwo zdobną, dobrobyt przynoszącą.

Pomimo dość silnego rannego chłodu przy drzwiach stoimy, patrząc na przesuwające się przed nami krajobrazy.

Stajemy na stacyi w Iglo. Udaję się do bufetu kolejowego, chcąc wypić szklankę kawy lub herbaty. Ścisk olbrzymi i natłok, trudno się dostać bliżej. Wreszcie, po długich tarapatach, dostaję z trudnością szklankę herbaty obrzydliwego smaku, za którą w dodatku trzeba sześćdziesiąt halerzy zapłacić.

— Niema, jak w Krakowie! — wzdycham — Za tę cenę kilka herbat wypić można!

Wlókł się tak dzień za dniem, przejechaliśmy już Koszyce, jedziemy teraz w północno wschodnim kierunku. Przed nami przesuwają się pociągi z III. pułkiem i II., my prawie że ostatni jedziemy. Niedziwota też, że nic na stacyi zjeść nie było można, wszystko wykupiły poprzednie bataliony.

To już trzeci dzień podróży, żołnierze pozjadali prowianty, a tu kupić niema gdzie. Wydalić się na miasto nie można, bo niewiadomo, kiedy pociąg ruszy w dalszą drogę. Zależne to od transportów wojsk, które masami poczęto przesuwać przez tę linię kolejową.

Żołnierz siedzi w ciasnym kącie, przemęczony, niewypoczęty i głodny w dodatku. Co można było kupić, kupiono, sierżanci, jak zwaryowani, gonili po dworcu, ale to wszystko za mało. Wreszcie dostają żołnierze pieniądze, gdyż nie sposób nic kupić. Ba! Ale pieniędzy jeść nie można, a w dodatku, gdzie staniemy na stacyi, z wagonów wychodzić nie wolno z obawy przed epidemią choleryczną, która wówczas na Węgrzech grasować poczęła, lecz została energicznie w zarodku zniszczoną.

Czwartego dnia dojeżdżamy do Csap. Stacya duża, rzęsiście oświetlona, na peronie mnóstwo osób się kręci, wyczekuje na pociąg, zdążający do Budapesztu To uciekinierzy. Przed najazdem wroga uciekli, z majątku swego i kilkuletniego dorobku zabierając tylko to, co unieść zdołali z sobą. W poważnych obliczach znać trwogę i przygnębienie. Rozpaczliwe to obrazy. Tu jakaś młoda kobieta z dwojgiem drobnych dzieci, z niemowlęciem na ręku, stoi zapłakana, nerwowym głosem dopytuje się o pociąg najbliższy. Tu i ówdzie grupkami snują się ludzie, znękani, ogromem nieszczęść przybici.

Patrzę na nich ze współczuciem i litością. Srogi to zaiste los. Kompanijny Dziekanowski zwraca się do mnie, mówiąc:

— Parę godzin tu będziemy stali, trzebaby coś ciepłego żołnierzom dać!

— Kuchni nie będziemy przecież tu zakładać!

— Trzeba iść na dworzec dowiedzieć się.

Wychodzę z wagonu, rozglądając się po dworcu. Za dworcem kolejowym kuchnię jakąś widać. To kuchnia armii austryackiej. Zbliżam się do żołnierzy, pytając o komendanta. Za chwilę przychodzi komendant. Przedstawiam mu sprawę, że chcielibyśmy coś gotowanego odkupić dla naszego batalionu. Objaśnia mnie, żebym z kancelaryi przyniósł kwit, to wyda. Dał mi żołnierza, który mnie zaprowadził do kancelaryi, mieszczącej się w gmachu dworca.

Wchodzę śmiało do kancelaryi, zasalutowawszy, przedstawiłem oficerowi dyżurnemu sprawę, podnosząc, że już cztery dni nasz batalion nie miał jedzenia i prosiłem, aby wystawił kwit.

Wystawił mi kwit na dwie kompanie, tłumacząc, że dla więcej żołnierzy nie starczy.

Uradowany, pobiegłem do kompanijnego, pokazując mu kwit. Piorunem zebraliśmy dwie kompanie i do kuchni je podprowadzili. Ale przecież i drugie kompanie muszą dostać — myślę sobie.

Zwracam się do kucharzy:

— Wystarczy jeszcze dla pięćset ludzi porcyi?

— Herbata tylko jest, ale trzeba kwit.

Powtórnie udałem się do oficera kuchni. — Z miłą chęcią podał mi kwit do podpisania, a potem spytał, w jakiej randze jestem, widząc mnie przy szabli bez żadnych innych odznak. Przedstawiłem mu się, podał mi rękę na pożegnanie i rzekł:

— Szczęścia, powodzenia życzę! Bijcie jak najwięcej Moskali!

— Cześć! — odrzekłem, wychodząc.

— Cześć! Cześć! — patrząc za mną, odpowiedział.

Z zadowoleniem przypatrywałem się raczącym się obywatelom, szczęśliwy, że udało mi się dostać dla nich żywności.

— No! Jak wam smakuje?

— Bycza! bycza! Tylko, że bez rumu!

— Chleb jest?

— Jest!

Powróciłem do kompanijnego. Ucieszył się, że sprawa dobrze poszła, że udało się coś wyrwać dla batalionu.

Znużenie mię ogarnia. Wyciągam się na ławce, po kilku nocach nieprzespanych sen mnie ogarnia natychmiast.

Ze snu wyrywa mnie szarpnięcie ręką. Zrywam się, przecierając oczy.

— Co jest?

— Rachunkowy!

— Tak. Rozkaz!

— Świecę latarką, poznaję adjutanta.

— Zbudzić wszystkich sierżantów. Komendant trenu, Mroczkowski, wyda amunicyę dla żołnierzy.

— Według rozkazu.

Wychodzi z pociągu adjutant. Patrzę na zegarek. Czwarta godzina rano. Deszcz wali w szyby pociągu. Spoglądam przez szybę. Stoimy w polu. Coś jest — myślę — tak w nocy na gwałt amunicyę rozdać, to coś jest.

Przypasuję szablę, bezpiecznik brauninga odmykam i wyskakuję z pociągu.

Ruch wielki koło wagonów. Pięć czy sześć pociągów stoi na torze kolejowym, a w każdym batalion nowego wojska. Z trudem odszukałem zaspanych sierżantów, plutonowi formują plutony, rozdajemy na gwałt amunicyę.

— Co jest? — pyta mnie sierżant dwunastej kompanii, Szczerba.

— Piorun wie!

— Zdaje się, na linię ognia teraz pojedziemy

— Pewnie!

Po rozdaniu amunicyi pociąg rusza dalej. Rozmaite przypuszczenia snują żołnierze. Mówiono im, że na ośmiotygodniowe ćwiczenia pojadą do Munkacza, tego też zdania byli wszyscy.

Rankiem dojeżdżamy do stacyi kolejowej K. Stanęły wszystkie pociągi na stacyi, pozwolono wyjść z wagonu i udać się do poczekalni. Z kilkoma kolegami przecisnąłem się do sali restauracyjnej, i zamówiłem kawę. Sala cała nabita uciekinierami. Spocząłem przy stoliku, rozglądając się wokoło. Smutny to widok patrzeć na znękane twarze uciekinierów. Koło stołu stanęła jakaś starsza kobieta z niemowlęciem na ręku, koło niej dwoje dzieci. Nieśmiało rozglądała się, gdzieby można usiąść.

Wstałem z krzesła, w milczeniu wskazując jej miejsce.

— Dziękuję panu! — odezwała się.

— Pani Polka?

— Tak, proszę pana, Polka, uciekam obecnie z mężem i dziećmi z Marmarosz Sziget. Mój mąż był zatrudniony w tartaku — bezładnie poczęła opowiadać — uciekamy, bo Moskale wpadli do miasteczka.

Za chwilę przybiegł jej mąż, wysoki, chudy mężczyzna, Węgier, jednakże dość dobrze po polsku rozmawiający. Podziękował mi za ustąpione miejsce. Na prawo od niej siedziały przy stoliku trzy panny, także uciekinierki, które z zajęciem poczęły się przypatrywać naszemu wojsku.

Jedna z nich zwróciła się do mnie z pytaniem jakiemś, jednakże wzruszyłem tylko ramionami, nie rozumiejąc, o co jej chodzi.

Pani, której ustąpiłem krzesła, odpowiedziała za mnie, a potem, zwracając się do mnie, tłumaczyła:

— Ta panienka pyta się, co to za wojsko. Odpowiedziałam za pana.

— Igen! Igen! — poczęły szeptać do siebie panny — Lengel.

Zaczęliśmy rozmowę. Pani owa służyła nam za tłumaczkę. Były to córki kupca z Marmarosz Sziget, które uciekały, a w drodze zgubiły się rodzicom. Zmartwione były ogromnie. Po omówieniu tych bolesnych spraw, zwróciła się do mnie, aby na pamiątkę wpisać się jej do notatnika, który poczęła z dniem ucieczki prowadzić. Wspomniała przytem, abym napisał jej pieśń naszą. Wpisałem jej „Jeszcze Polska nie zginęła", zamaszyście wycyrklowałem imię i nazwisko, pułk, batalion i datę. Podziękowała mi, poczem zebrały się, gdyż nadjeżdżał pociąg, który miał ich zawieźć do Budapesztu.

— Eljen Lengel! — skłaniając główkami na pożegnanie, wyrzekły.

— Eljen Madziaro! — odpowiedzieliśmy.

— Eljen Legiono!

— Eljen!

Wyszły pospiesznie. Konduktor począł nawoływać do wsiadania. Rozłożyłem mapę, szukam kierunku drogi, dokąd zmierzamy. Linia kolejowa prowadzi prosto do Huszt, Taraszköz, Marmarosz Sziget. Teraz zdaję sobie jasno sprawę, dlaczego na gwałt rozdawano amunicyę. Patrole kozackie bowiem za puszczają się czasem na kilkadziesiąt kilometrów od głównej siły, łatwe więc z niemi spotkanie.

Po dwóch godzinach postoju siadamy do wagonów, pociąg rusza. Żołnierze szeptają między sobą, że prosto na linię bojową jadą. Na twarzach ich odbija się zadowolenie, z zamiłowaniem czyszczą i smarują karabiny. Nocą dojeżdżamy do Huszt. Godzina piąta rano. Z okien wagonu widać miasteczko, na północnym zaś widnokręgu wyglądają pasma gór. To Karpaty, dzielące nas od Galicyi. Na drugim torze przesuwa się pociąg z I. i II. batalionem naszego pułku. Wagony przystrojone kwiatami, gałązkami świerku. Na zewnątrz kredą wymalowane postacie polskich żołnierzy, przeróżne przytem napisy po polsku i węgiersku.

— Cześć! Cześć! — krzyczą na nasz widok.

— Czołem! Cześć! — odpowiadamy.

— Jedziecie pierwsi!

— Tak! Tak! — wesoło odpowiadają.

— My za wami!

Pociąg powoli rusza z nimi. Jadą w kierunku Marmarosz Sziget. Patrzymy za znikającym pociągiem, pieśń brzmi w wagonach, roznosi ją echo po polach.

— Wysiadać! Wysiadać! — odezwały się nagle głosy kompanijnych. Po pięciodniowem gnieceniu się w wagonach wysiadają żołnierze z zadowoleniem, że już te „kurniki" porzucą.

— Co, my nie pojedziemy dalej? — pytają ciekawie.

— Widocznie.

Bataliony obu pułków odjechały, myśmy pozostali na stacyi. Obok stacyi na polance rozłożyły się kompanie, kucharze ogień rozpalili, do gotowania śniadania się zabierają.

Z rozkazu adjutanta udałem się z sierżantami kompanijnymi do miasteczka, aby zakupić mięsa, chleba i ziemniaków.

Skręcamy z dworca kolejowego na prawo, brniemy w obrzydliwem błocie. Na ulicach pospolitacy węgierscy stoją w plutonach, przygotowując się do drogi. Pozdrawiamy się wzajem. Z sierżantami obchodzę chaty, aby zakupić potrzebne prowianty. Część domostw opustoszała, wreszcie wskazano nam chatę, gdzie gospodarz miał krowy na sprzedaż.

Wchodzimy do brudnej, ciemnej izby. Na zapadniętem łóżku siedzi dwoje dzieci, bawią się z kotem, gospodyni przy stole z załamanemi rękami. Na widok wchodzących żołnierzy zerwała się, patrząc przestraszonym wzrokiem.

— Macie krowy do sprzedania?

Odpowiada mi w narzeczu słoweńskiem, że ma, tylko mąż jej przyjdzie, to sprzeda, bo ona nie wie, jak.

Posłano po gospodarza, przybiegł zadyszany. Po krótkim targu kupiliśmy od niego krowy i ziemniaki. Proponował następnie, aby zakupić od niego wszystkie kury i cały drób, bo oni rzucają swoje gospodarstwo i uciekają w głąb Węgier. Tłumaczymy mu, żeby tego nie robił, niema najmniejszej obawy, aby tutaj dostali się Moskale.

Kobieta, na widok wyprowadzonych krów z obory, zalała się łzami.

— Oj, Boży, Boży! Cały dobytek, cały dobytek!

— Gospodarzu!

— Proszu, proszu.

— Nie wiecie, gdzie tu chleba można kupić?

— Chleba, panie?

— Tak, chleba.

Wyciąga pół bochenka kukurudzianego chleba i podaje nam.

— To dla tysiąca ludzi za mało — roześmiałem się — trzysta bochenków najmniej potrzebuję.

— Trudno będzie, panie. Trochę tylko mieszkańców zostało, reszta uciekła.

— Piekarni tu niema?

— Jest, ale nie wiem, czy mają chleb.

Oddałem mu ten kawałek chleba, on jednak koniecznie prosił, aby go wziąć. Ale jakże tu brać od biedaka, kiedy to może ostatni ich bochenek, a tu są jeszcze drobne dzieci. Po długich ceremoniach ukrajałem kawałek chleba, gdyż głód dokuczał mi dość silnie. Wyciągnąłem pugilares, chcąc mu zapłacić.

— O nie, panie! Chlebem trzeba się dzielić! Straszne teraz czasy.

— Zadarmo nie chcę!

— Weźcie, weźcie! Dla nas wystarczy.

Dałem po kilka miedziaków bawiącym się dzieciom.

Wychodzimy z chaty, za przewodnikiem podążamy, który nas prowadzi do sklepu. Niestety, sklep zamknięty, zaryglowany. Prowadzi nas wejściem od podwórza, ażeby przez mieszkanie można było wejść do sklepu. I tu drzwi zastajemy silnie zamknięte. Po energicznem pukaniu odmyka wreszcie drzwi stary, trzęsący się ze strachu żyd, pytając, co chcemy?

— Sól jest?

— Niema, panie.

— Może choć trochę się znajdzie?

Prosi nas do środka, przeszukuje szuflady i wyskrobawszy z nich z pół funta, zawinął w papier.

— Niema więcej?

— Nie, ani kapki!

Dwie godziny upłynęło, zanim załatwiliśmy zakupy. Z trudem udało nam się kupić dwieście bochenków chleba, które z tryumfem przywieźliśmy do batalionu, gdzie wygłodniała wiara z radością nas przyjęła.

Pod wieczór, po kilkugodzinnym odpoczynku wyruszył nasz batalion z Huszt, za nim pociągnął tren, do którego zostałem przydzielony. Noc ładna, jasna, choć zimna cośkolwiek. Droga niemożliwa, kałuże błota wokoło, wśród nich trzeba manewrować. Wysunięta na czoło batalionu straż przednia co chwila wstrzymuje marsz, bacznie przeszukuje przeszkody, gdyż batalion wstępuje w teren wojenny, gdzie lada chwila ukryty wróg może zionąć karabinami maszynowymi, lub znienacka napaść na batalion.

Opustoszałe wioski mijamy, gdzieniegdzie tylko okno oświetlone wskazuje, że nie wszyscy mieszkańcy pouciekali przed inwazyą nieprzyjacielską.

Olbrzymia równina ciągnie się przed nami, za którą góry karpackie stanęły, jakby ogrodzeniem tej równiny były. Nad ranem przeszliśmy przez drewniany most, położony nad rzeką, dopływającą do Cisy.

— Dwugodzinny odpoczynek! — rozległy się głosy kompanijnych. Batalion wmaszerował w wioskę. Wieś duża, około pięćset budynków drewnianych, opustoszałych jednak z mieszkańców.

— Wiecie? — mówi mi komendant trenu Mroczkowski — przed tygodniem byli tu kozacy.

— No i co?

— Wpadli, zrabowali co się dało, w dodatku uprowadzili kilka kobiet w las.

— Psiekrwie!...

— Nie oszczędzali nikogo! Wieś, pomimo, że w znacznej części zamieszkała przez ludność ruską, strasznie ucierpiała. Popatrzcie się po domach. Drzwi i okna powyrywane, przed domami gdzieniegdzie poniszczone graty leżą. Właściciele pozostawili wszystko i pouciekali. Bydło, drób jeno, którego kozacy nie zdołali wyłapać, koło domostw krąży.

— Barbarzyńcy!

— Gorzej! Dzicz, istna dzicz!

— Bić, bez litości bić!...

Pokazuje poniszczone chaty, powyrzucane sprzęty domowe, leżące w kałużach błota.

Gdzieniegdzie ślady ognisk, koło nich pierze z drobiu, rozlatujące się za podmuchem wiatru.

— E... trzeba się trochę rozgrzać — przemówił, wchodząc do chaty, przed którą kilkunastu żołnierzy stało. Poszedłem za nim. Przy wielkim kominku zgromadziło się kilku, grzejąc przy ognisku konserwy. Na kukurudzy świeżo zebranej położył się Mroczkowski, wyciągając strudzone ciało. Baba z córką, w łóżku leżąc, patrzały na nas podejrzliwie. To żona podwójciego tejże gminy. Męża, podejrzanego o moskalofilstwo, w poprzedni wieczór aresztowano.

— Dość tu było moskalofilów — przemówił po chwili Mroczkowski.

— I co? Aresztowano ich?

— Tak, kilkunastu.

Rozkoszujemy się ciepłem, buchającem z kominka, senność nas ogarnia, z przyjemnością człowiek wyciągnąłby się i położył spać na jakie dwanaście godzin, a tu lada chwila zerwać się trzeba do dalszego marszu.

Mroczkowski wyciąga flaszkę araku i przypijając powtarza po węgiersku:

— Igen, igen, iskola, piskola! Trzeba się posilić, aby i weselej było — śmieje się.

— Pewnie, że weselej będzie — przytakuję.

Nadjechał adjutant, Jakubowski, na koniu. Stanął przed chatą, żołnierzy pyta o komendanta trenu. Mroczkowski wybiegł z chaty, w wyprężonej postawie stanął przed adjutantem.

— Na południe musimy być w Dolhy. Koni nie męczyć zbytecznie, na fury nikomu nie wolno siadać. Marudery pójdą za XII. kompanią, absolutnie na wozach nie śmie nikt być!

— Według rozkazu!

Odjeżdża adjutant w pełnym galopie. Mroczkowski, pobrzękując szablą, rozporządzenia wydaje treniarzom, wymyślając im przytem, że adjutant „zjeździł" go przez nich.

— Mówiłem, psiakrew, żeby na wozy nie wsiadać! Cholery, na złość zawsze musicie zrobić! Ale wam sprawię za to cięgi, popamiętacie mnie!

Bo też to utrapienie z nimi. Jak tylko wozy ruszyły naprzód, to oni już na wozach, nie bacząc, że konie zmęczone, że droga górzysta i uciążliwa, po której ciężko jest ciągnąć naładowane amunicyą wozy. A każdy z nich miał inny wykręt. To noga obtarta, to boleści jakieś, ten znów ma kartkę od lekarza i t. p.

— Czekajcie! — wymyśla im dalej — niech jeno którego złapię na wozie! Już mu żadna kartka nawet od stu lekarzy nie pomoże, ani przeróżne boleści, jako to: łamanie w kościach, w krzyżach, w mózgu.

Ale żołnierze z ufnością patrzą w zachmurzone oblicze swego władcy, bo wiedzą, że znowu nie taki groźny, jak się wydaje. Pokrzyczy, nawymyśla, ale niejednemu dobrze zrobi, byleby go tylko w humorze zastał. Lubią go żołnierze, choć czasem niejednego skarci, poważają przełożeni, bo energia w nim wielka, spryt do wszystkiego, wymarzony komendant trenu.

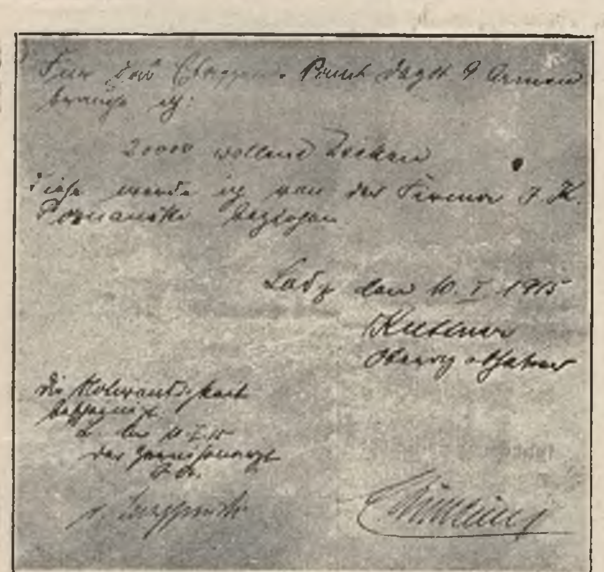
Wsiadł na siwego konia, pomiędzy wozami ugania, przynagla do zaprzęgania koni do wozów. Wymyśla furmanom, krzyczy na żołnierzy, jakby podczas wielkiej jakiej walki. Podniecona energia pracuje. Przejeżdża batalionowy, Fabrycy, z adjutantem i pomocnikiem Florkiem, uśmiecha się na widok energicznie zapracowanego Mroczkowskiego. Lubi batalionowy, aby wszystko szło ostro i dzielnie, ceni żołnierza energicznego, śmiałego. Bo też i kapitan Fabrycy, choć prędki, skory do zbesztania i w pierwszym porywie gniewu srogo nieraz karzący żołnierza, to znów, gdy gniew przeminie, do rany go przyłóż, taka to natura polska. Wiedzą o tem żołnierze i z ufnością spoglądają na dowódcę. Również i adjutant Jakubowski, to postać szlachetna i dobra dla żołnierza.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Walki w Karpatach.

Wojna obecna, wśród wielu innych niespodzianek, okazała również, że współczesne pokolenie, o fizycznem skarłowaceniu którego tak często pisano i mówiono, zdolne jest do znoszenia takich trudów, o jakich przedtem nie miano pojęcia. Bitwy, ciągnące się tygodniami, wymagają od żołnierza wprost niesłychanej wytrzymałości.. Spędza on miesiące pod gołem niebem, w rowach strzeleckich, na mrozie i słocie. Zdawałoby się, że natura ludzka tego nie wytrzyma, a jednak wojna obecna wykazała, że i do tego człowiek może się „przyzwyczaić."

Ze wszystkich terenów wojny najcięższe trudy musiały znosić wojska, walczące w Karpatach. Wielkie mrozy, olbrzymie śniegi, ciężkie drogi i trudne przejścia — wymagały od walczących wojsk ogromnej wytrzymałości... A tam to właśnie okryli się

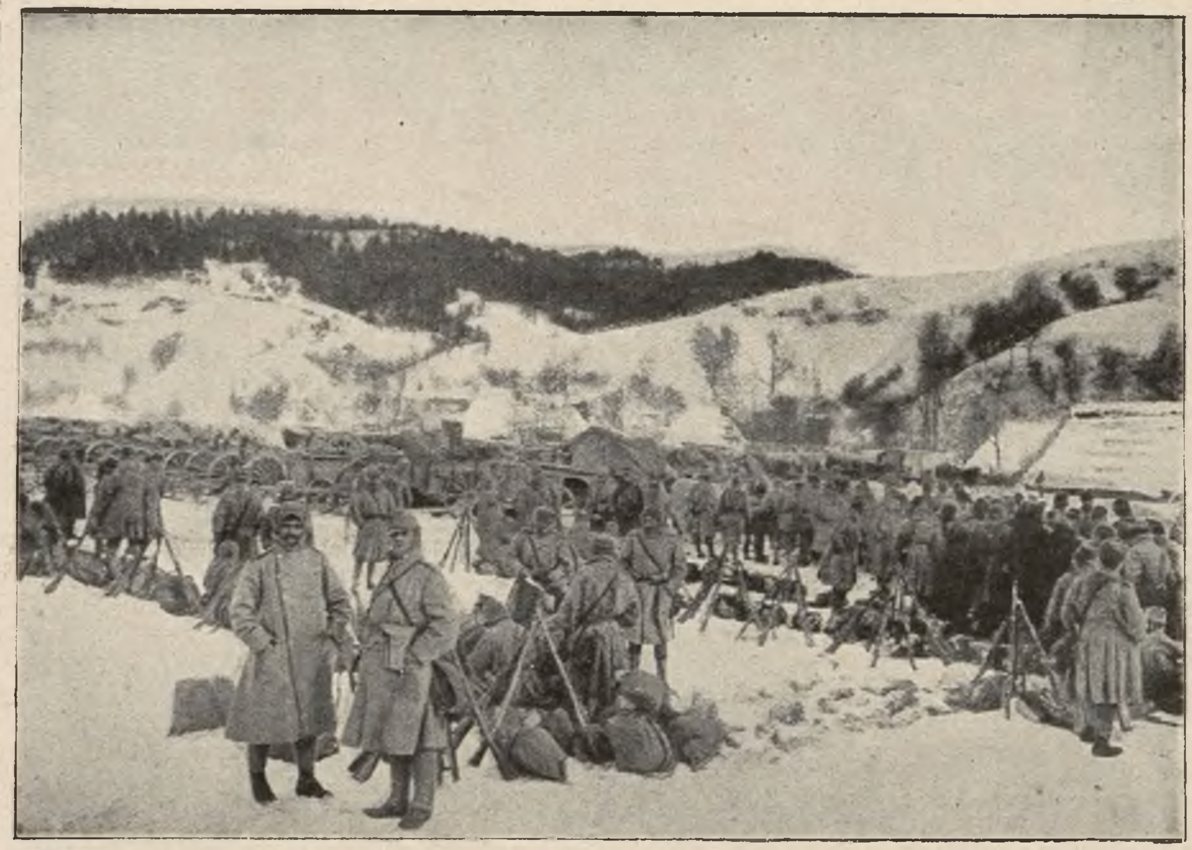

Lodz den 10. I. 1915

Łódź w czasie wojny: Niemiecki kwit rekwizycyjny na 20000 wełnianych kołder

sławą nasi Legioniści i tam to w ostatnich czasach armia austro-węgierska odniosła szereg świetnych zwycięstw i wyparła wroga z Karpat. Zwycięstwo to nie było jednak łatwem. Rosyanie zdołali, jak wiadomo, przedrzeć się do Węgier i zajęli tam kilka komitatów, gdzie zgromadzili już znaczniejsze siły. Wojska austryackie musiały więc wypierać ich z zajętych pozycyi, musiały walczyć o każdy pagórek, o każdą przełęcz, o każde przejście. A tę walkę utrudniał ciągle również groźny wróg — śnieg i mrozy.

Pomimo tak trudnych warunków wojska austro-węgierskie nie tylko wyparły Rosyan ze wszystkich przejść, wiodących na Węgry i do Siedmiogrodu, ale po kilkotygodniowej ofenzywie przedarły się przez zasypane śniegiem doliny górskie daleko na teren Galicyi wschodniej i Bukowiny.

Rosyanie walczyli w Karpatach wprost rozpaczliwie, zdając sobie sprawę, że klęski te zbliżają odsiecz dla Przemyśla i uwolnienie Galicyi od najazdu rosyjskiego. Pomimo to musieli się cofać, a zacięty opór, jaki stawiali, kosztował ich olbrzymie ofiary.



Walki w Karpatach: Odpoczynek wojsk austro-węgierskich w pobliżu przełęczy Użockiej.



Walki w Karpatach: Austro-węgierska kolumna prowiantowa u podnóża Karpat.



Z teatru wojny: Wystrzelone szrapnele austryackie.



Walki w Karpatach: Niemiecka artylerya pod Duklą.

Obecnie Rosyanie usiłują za wszelką cenę powstrzymać ofenzywę armii austro-węgierskiej i przeszli do gwałtownych kontrataków na froncie od Dukli aż do Wyszkowa. Z wielką zwłaszcza furyą i impetem atakują pozycye wojsk austro-węgierskich u przełęczy dukielskiej, gdzie toczą się najzaciętsze walki. Od trzech tygodni grzmią w górach Makowicy działa, a pomimo, iż Rosyanie usiłują za wszelaką cenę przełamać tę linię, każde ich usiłowanie krwawo było odparte.

Celem ataków rosyjskich jest prawdopodobnie owładnięcie linią kolejową Koszyce—Bogumin dla uniemożliwienia transportów wojskowych. Cel ten już dzisiaj uważać należy za chybiony, ponieważ położenie wojsk austro węgierskich na przełęczy dukielskiej jest tak korzystne, że możemy być spokojni o utrzymanie tej linii.

Lecz jeśli opór Rosyan jest zupełnie zrozumiały, to ataki ich, odpierane z krwawemi dla nich stratami, nie mogą obecnie przynieść Rosyanom realnych korzyści. Gdyby nawet powiodło im się przełamać nasz front na pewnym punkcie i dostać się na drugą stronę Karpat, to taki luźny i od całości oderwany pochód byłby z góry skazany na pogrom zupełny. Tylko wyparcie za Karpaty całego naszego frontu, odsłoniłoby dla Rosyan północne Węgry — ale to wyparcie stało się już niemożliwem. Na Bukowinie i w Galicyi wschodniej wojska austro węgierskie posuwają się ciągle naprzód, zaś w Galicyi środkowej i zachodniej, na linii Wyszków—Dukla—Zakliczyn stoją silnie na pozycyach.

Mogli Rosyanie o czemś podobnem myśleć przed kilku tygodniami, gdy przeważającemi siłami parli w stronę Dukli, ale tymczasem pod Duklą nastąpiło wyrównanie sił. Rosyanie już nie mogą marzyć o skutecznem złamaniu naszego frontu pod Karpatami, więc chyba ataki ich mają na celu wstrzymanie naszego frontu na obecnej linii, ażeby umożliwić przesunięcie sił rosyjskich do Galicyi wschodniej.

Żołnierze Polacy w szpitalach monarchii.

Kilkakrotnie zamieszczaliśmy już na łamach naszego pisma zdjęcia fotograficzne, przedstawiające szpitale, w których leczą się ranni i chorzy żołnierze Polacy. Obecnie niema prawie dnia, by pod adresem Redakcyi nie nadeszło bodaj jedno pismo z prośbą o przyjęcie i reprodukcyę fotografii, illustrującej życie w tych zakładach humanitarnych. Na ogół stwierdzić trzeba, że dotąd nie spotkaliśmy się ani z jedną skargą na złe lub nieludzkie traktowanie chorych żołnierzy Polaków, owszem, każdy list zawiera słowa uznania tak dla personalu szpitalnego,



Żołnierze Polacy w szpitalach monarchii: Pielęgniarki w czeskiej szkole realnej w Lipniku, z profesorem tego zakładu Janem Dosedą, obecnie administratorem szpitala.

jak i dla miejscowej ludności, współczującej szczerze z nieszczęśliwemi ofiarami obecnej wojny.

Jak monarchia austryacko węgierska długa i szeroka urządzono wszędzie mniejsze lub większe szpi-



Z teatru wojny: Austro-węgierska piechota na pozycyi pod Jasionką.





Żołnierze Polacy w szpitalach monarchii:

Sala chorych Nr. IV. w czeskiej szkole realnej w Lipniku w wigilię Bożego Narodzenia. (X) dr. Bron. Lach, 1) katecheta ks. Dušek, 2) dr. Dedekind, szef oddziału chirurg. 3) dr. Elia Fuchs.

Rekonwalescenci oddziału chirurgicznego szpitala w czeskiej szkole realnej w Lipniku. (X) Ulubieniec współpacyentów i personalu szpitalnego, cudem ocalony od śmierci Michał Ordynek z pod Sambora.

tale i lecznice, niema zaś prawie ani jednej tego rodzaju instytucyi, w którejby się nie znajdował mniejszy lub większy procent rannych i chorych żołnierzy Polaków, należących tak do armii, jakoteż i Legionów. Im więcej razem znajdzie się leczących tej samej narodowości, tem im też przyjemniej, wzajem pomagają sobie i pocieszają się wzajemnie. Tu, zdala od rodzinnego kraju, zapomina się o różnicy społecznej i rozmaitości przekonań politycznych.

Wiadomości z kraju przychodzą dość często, rannym i chorym nie brak też i strawy duchowej, wszędzie bowiem postarano się o zaopatrzenie czytelni i bibliotek szpitalnych w czasopisma i książki polskie. Prawdziwą zaś radość sprawia wszędzie każdy numer *Nowości Illustrowanych*, choćby nawet z przed kilku tygodni, wyrywają go sobie z rąk do rąk, jest to bowiem jedyna dziś illustracya polska przynosząca ryciny z placu tytanicznych bojów, o jakich dotąd i pojęcia nie miano!

Ilekroć znajdzie się na szpaltach *Nowości* obrazek, przedstawiający chorych lub rannych żołnierzy Polaków, leczonych w którymkolwiek szpitalu, szuka się towarzyszy broni między nimi, numer taki przechowuje się potem, jako miłą pamiątkę, która po wielu latach ma przypomnieć, ile to żołnierz polski wycierpiał dla idei, z jaką ochotą i pogardą śmierci szedł w ogień, by zdusić odwiecznego wroga.

W ubiegłym tygodniu otrzymaliśmy trzy korespondencye z różnych stron monarchii, z miejscowości, w których znajdują się szpitale wojenne. Dwa z nich przeznaczone są dla rannych i chorych żołnierzy, jeden zaś wyłącznie dla polskich Legionistów.

Pierwszy, pomieszczony w budynku czeskiej szkoły realnej w Lipniku, jest instytucyą humanitarną, zakrojoną na wielką skalę, w danym wypadku może bowiem pomieścić do sześciu tysięcy rannych i chorych.

Zarząd główny sprawuje energicznie komisarz starostwa p. Fr. Hejny, administracyą kieruje profesor Jan Dosedla, ciężkie zaś a dobrowolnie przyjęte na siebie obowiązki pielęgniarek spełniają ochoczo i sumiennie córki lipnickich obywateli.

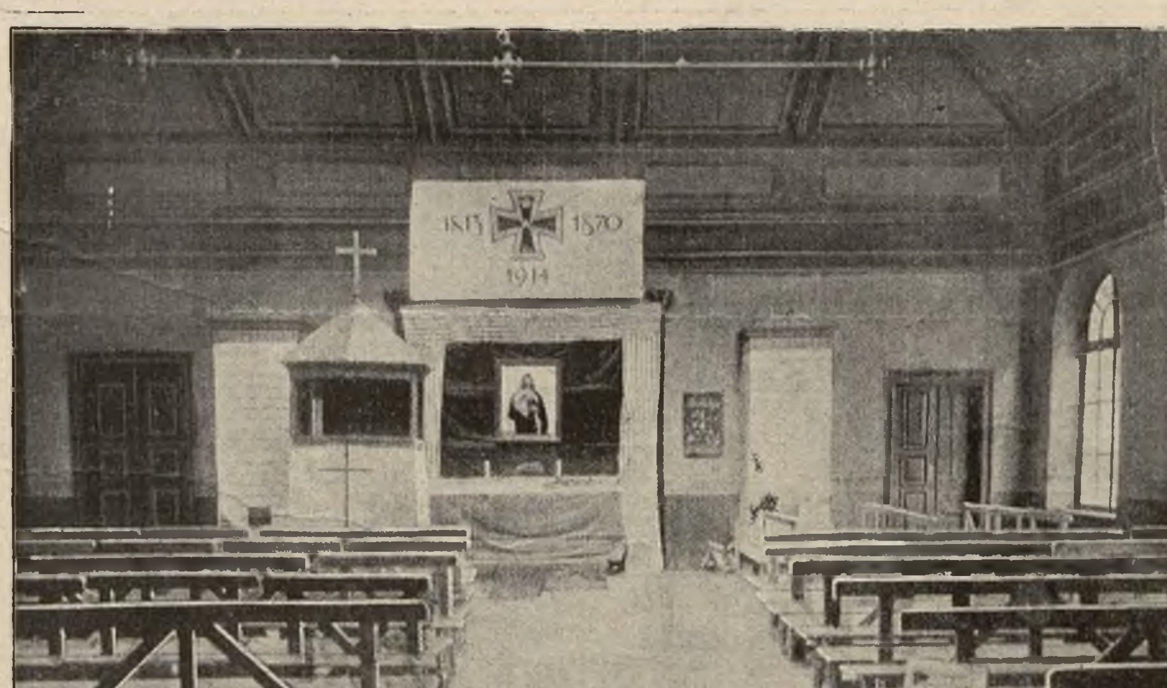
Na pomieszczenie szpitala przeznaczono miejscowe



Żołnierze Polacy w szpitalach monarchii: Grupa lekarzy i pielęgniarek szpitala w czeskiej szkole realnej w Lipniku. Od strony lewej ku prawej: komis. starostwa Fr. Hejny, dr. Dedekind, dr Lach, dr. Fuchs, prof Dosedla, dr Knauer.



Żołnierze Polacy w szpitalach monarchii: Grupa Legionistów i personal szpitala w Szen-Agota na Węgrzech.



Z teatru wojny: Poczekalnia na dworcu w Mławie, zamieniona na kaplicę protestancką.



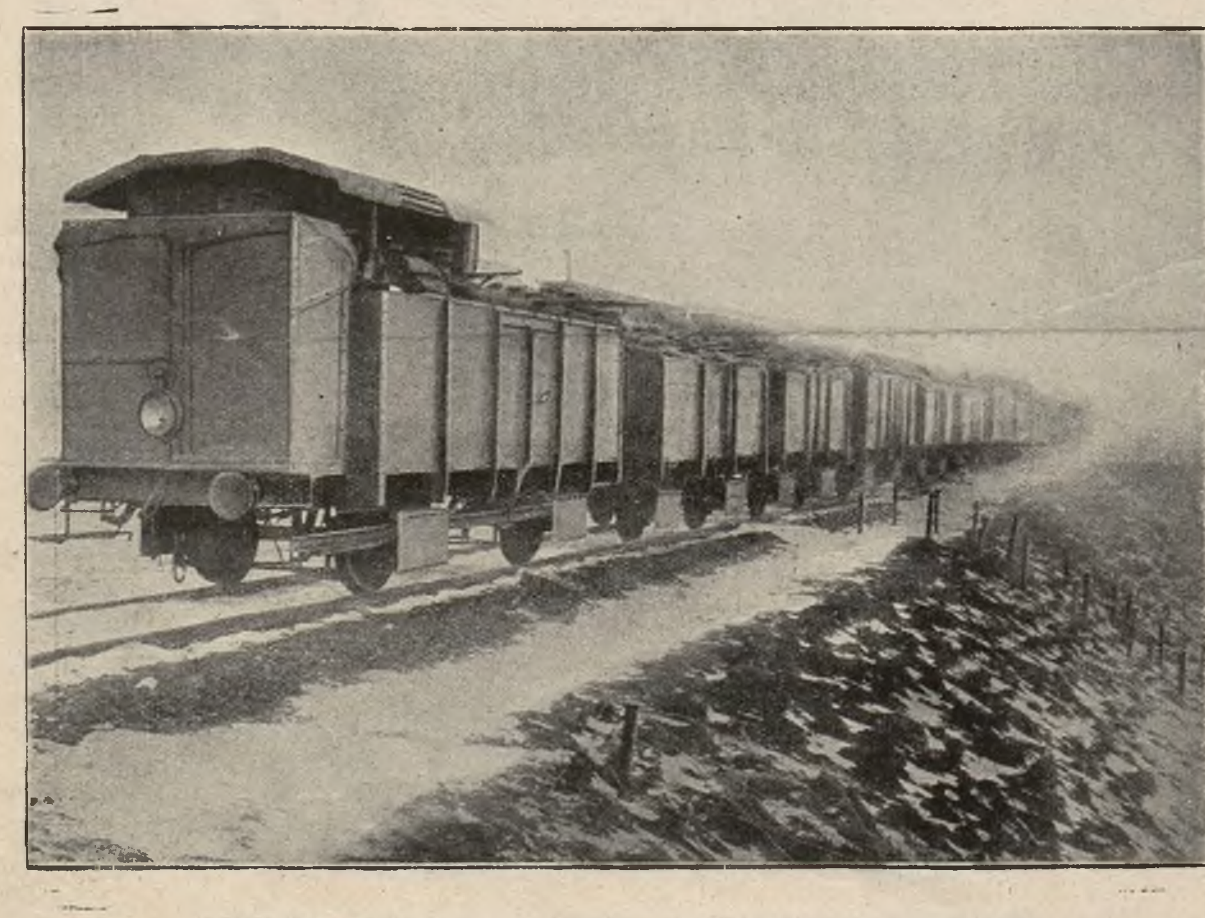


Żołnierze Polacy w szpitalach monarchii:
Wieczór wigilijny na sali Nr. X (oddział chirurgiczny) szpitala w czeskiej szkole realnej w Lipniku.
Sala chorych N. IX (oddział chirurgiczny) szpitala w czeskiej szkole realnej w Lipniku. Pacyenci sami Polacy.

budynki szkolne i cały szereg specyalnie wybudowanych baraków, urządzenie wewnętrzne jest pod każdym względem wzorowe i odpowiada najnowszym wymogom hygieny.



Z teatru wojny: Arcyksiążę Piotr Ferdynand dekoruje żołnierzy, odznaczonych za waleczność



Z teatru wojny: Niemiecki pociąg pancerny na polu walki w Prusach Wschodnich.

Z pomiędzy personalu szpitalnego wspomina nasz korespondent nazwiska szefa oddziału chirurgicznego dra Dedekinda, dra Bronisława Lacha, dra Fuchsa, dra Knauera, oddając wszystkim zasłużone pochwały tak dla głębokiej ich wiedzy, jak i sumienego a ludzkiego postępowania.

Także i niemieckie Siostry miłosierdzia, zajęte w szpitalu, zjednały sobie uznanie i wdzięczność ze strony chorych.

Cała serya illustracyj, odnoszących się do tego zakładu, w którym leczy się bardzo wielu Polaków, przekona Czytelnika, że szpitalnictwo nasze znajduje się w pełnym rozkwicie.

Ulubieńcem całego personalu lekarskiego i chorych jest cudownie prawie wydarty ze szponów śmierci Michał Ordynek, pochodzący z pod Sambora.



Żołnierze Polacy w szpitalach monarchii Z życia w szpitalu lipnickim. Siostry miłosierdzia przygotowują dla chorych śniadanie.

Jest już rekonwalescentem i jako taki ma opuścić niebawem szpital.

Drugim szpitalem, przeznaczonym również dla żołnierzy, a goszczącym w swych murach także wielu Polaków, jest tak zwany *K. u. k. Notspital nr. 2.* w Eggenberg koło Gracu.

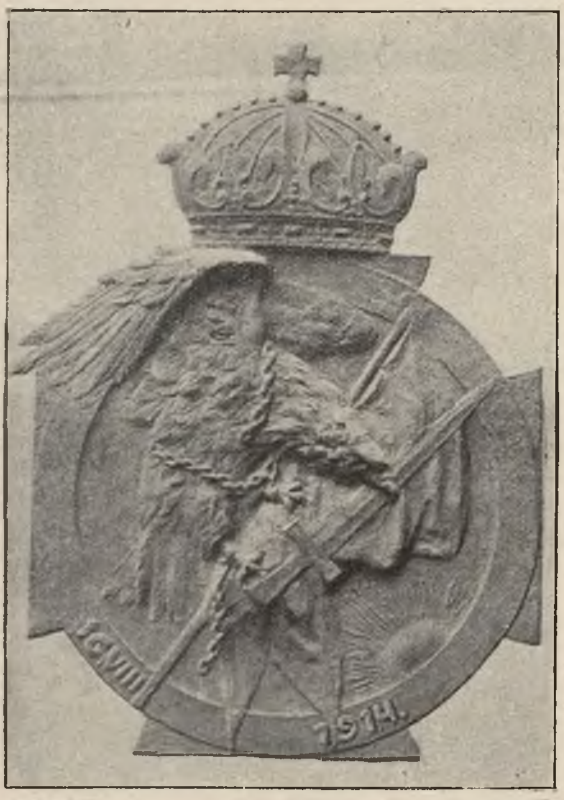
Nadesłana stamtąd fotografia przedstawia grupę czysto galicyjską z drem Borysiewiczem na czele. Pomieszczeni są oni w baraku trzecim i, jak korespondent zaznacza, znajdują tutaj „doskonałą pielęgnacyę“.

Dla Legionistów polskich natomiast urządzono lecznicę w Szent Agota w Siedmiogrodzie.

Jest to miejscowość, z mieszkała przeważnie przez Sasów i Rumunów, procent ludności węgierskiej jest stosunkowo bardzo mały. Zwłaszcza ludność saskiego

pochodzenia jest dla Polaków bardzo życzliwą, z pomiędzy pań i panien saskich rekrutują się właśnie zajęte w szpitalu pielęgniarki, które ogromnie troskliwie opiekują się rannymi i chorymi. Są one ogromnie muzykalne, każda prawie gra na cytrze lub mandolinie, nie przykrzy się więc naszym zuchom. Choć niejednemu ból doskwiera, zapomina o tem, i gdyby nie obowiązek, który woła w pole, radby tu jak najdłużej pozostać.

Ale panie pielęgniarki mają też nieraz i dość kłopotu z rannymi, którzy nie mogą się w żaden sposób przyzwyczaić do tak popularnej tutaj kukurudzianej mamałygi. Karmią nią kilka razy w tygodniu. Aby zaś przymusowa dyeta choremu nie zaszkodziła, poczciwe niewiasty znajdują dla takich antimamałygowców jajka na miękko, mleko, kawę itp.



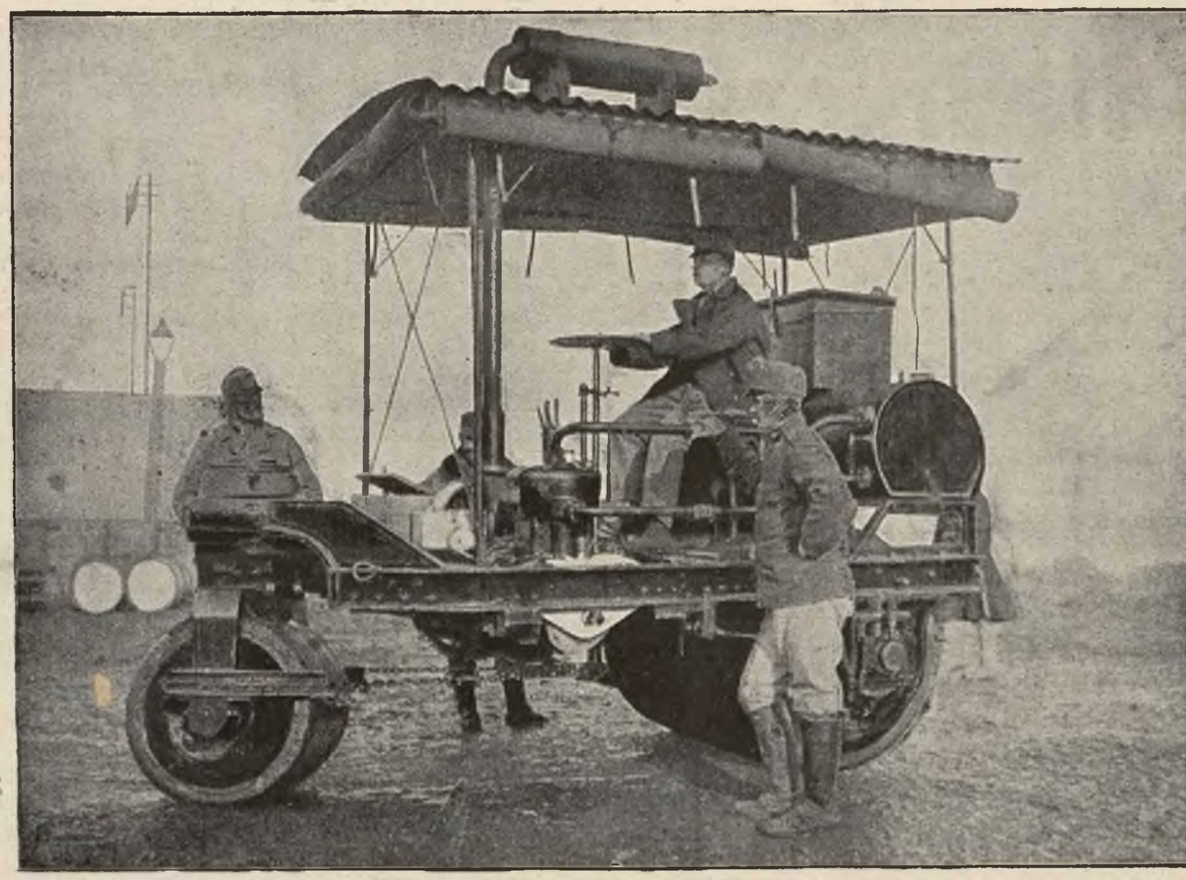
Z Legionów: Pamiątkowa odznaka wydana przez wiedeńską delegacyę polskiego Samarytanina.

Nic też dziwnego, że Legioniści głęboko w sercach zapisali sobie to ludzkie traktowanie i zachowają wdzięczną pamięć pobytu w tych stronach.

Publiczna egzekucya w Nowym Sączu.

We współczesnej wojnie, w której powodzenie zależy w znacznej mierze od umiejętnego ukrywania pozycyi i ruchów wojsk przed nieprzyjacielem, odgrywa wielką rolę szpiegostwo. Jest ono nawet najpewniejszym zwiastunem wojny, jak to właśnie mogliśmy się teraz przekonać. W ostatnich czasach, przed wybuchem wojny, Galicya została formalnie zalaną szpiegami rosyjskimi, a procesy szpiegowskie stanowiły stałą kronikę sądową.

Nie potrzeba dodawać, że po wybuchu wojny Rosyanie tembardziej nie szczędzą wysiłków i rubli dla pozyskania szpiegów w Galicyi, gdzie zaczyna im się coraz gorzej powodzić. Z tem szpiegostwem

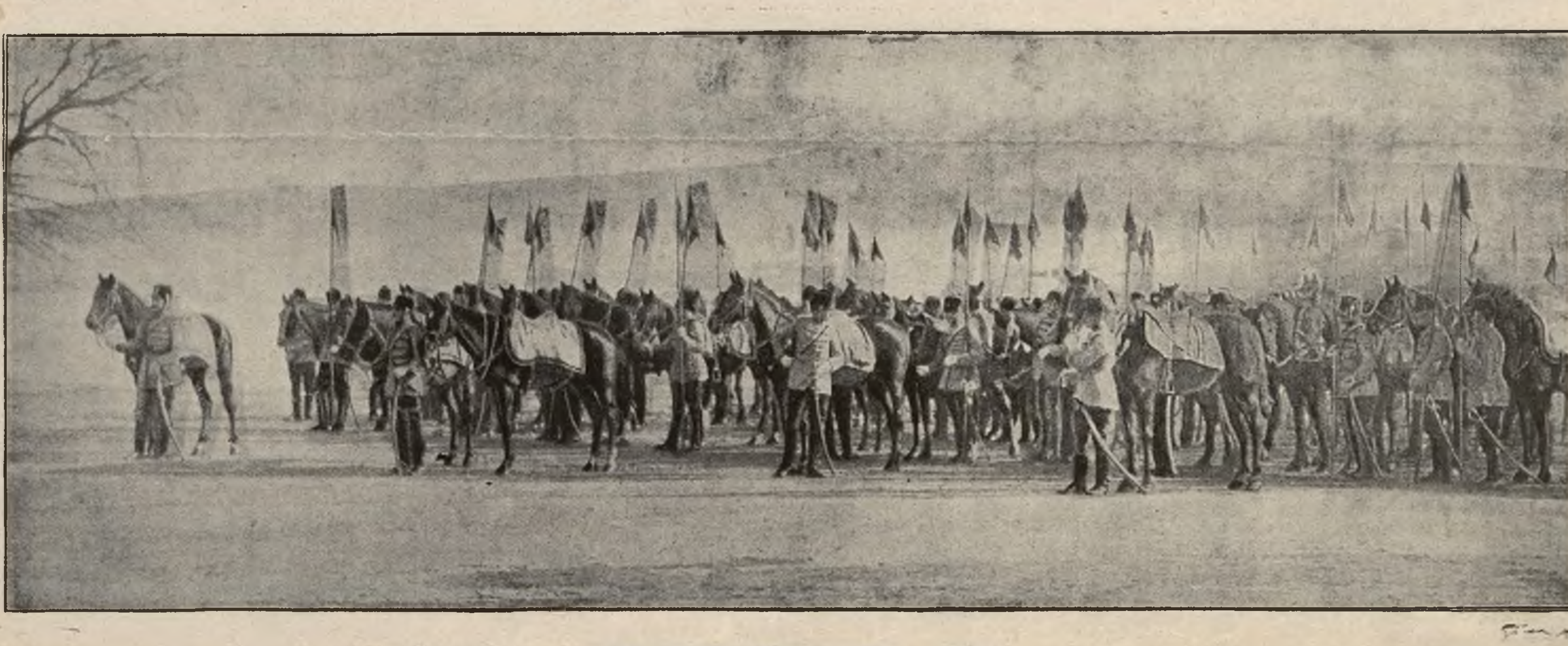


Z teatru wojny: Naprawa dróg w Królestwie Polskiem przez wojska austro-węgierskie.

walczą też energicznie władze austryackie, które wyłapują szpiegów i postępują z nimi z całą surowością prawa wojennego. Ten, komu udowodniono winę, idzie na szubienicę... W tych dniach odbyło się nawet publiczne stracenie szpiega na Rynku w Nowym Sączu, co przedstawia nasza illustracya.



Publiczna egzekucya w Nowym Sączu: Powieszony szpieg na rynku.



Z teatru wojny: Turecki pułk jazdy z Anatolii.

Stanisław Sławiecki

Księżniczka

Idylla.

7

Śliczne dziewczę stało bezradnie z rozwianymi włosami, mając jeszcze w całej postaci tendencyę ruchu, jakgdyby chciało złapać co dopiero porwany kapelusz. Szedł od tej postaci, pełnej młodości i kipiącego życia, żar nieuchwytny, co krew rozpala w żyłach, w kipiący ją zamieniając żar.

Drżałem cały. Nogi trzęsły się podemną, jak pręty trzcinowe.

Ona wydała lekki okrzyk zdumienia. Nie spodziewała się mnie tutaj, z drugiej strony musiała odczuć, że przyjechałem tu dla niej, tylko dla niej. Spojrzała mi w oczy tak... nie, nie mogę wyrazić słowami tego, co mi jej oczy powiedziały... te cudne, cudne, cudne oczy...

Zaczerwieniłem się. Wstyd mi było, ale nie mogłem się obronić od tego rumieńca szczęścia.

Pierwsza myśl: Lili jest sama! Ta myśl sprawiła mi niewypowiedzianą rozkosz.

Ona bez ceremonii zbliżyła się do mnie i podała mi obie ręce. Ująłem je z dziwnem drżeniem na całem ciele i nie wypuszczałem z mych dłoni. Nie wzbraniała mi. Wytłumaczyłem jej powód mojego przybycia chęcią ujrzenia morza, kłamałem niezręcznie, czując, że ona temu nie daje wiary.

Nie mogłem inaczej.

Nagle, patrząc mi w oczy, zapytała, czy tęskniłem za nią. Wzruszenie mię opanowało. Nie mogłem już wstrzymać nagromadzonej mocy uczuć i wybuchnąłem.

— Tak, szalenie i pani pyta mię jeszcze... Każda chwila bez pani, męczarnią mi była... Cóż mogło mi zastąpić cud twego oblicza, twych oczu czar i ust korale... Do kogóż mówić miały usta moje, dla kogóż bić miało me serce? Pani! — mówiłem przez łzy, klęcząc u jej stóp i całując bieluchne dłonie — za moją miłość gorącą, jak żar bieluchny, jak płomień żywą, jak świeżo upadłe śniegi czystą... za te męki... nieprzespanych nocy, palących, nieokiełzanych żądz trawiących... niczego nie chcę... niczego...

— Panie! — mówiła pieszczotliwie wzruszonym głosem — panie Adasiu...

— Pozwól mi tylko do śmierci w twe patrzeć czarowne oczy, w ich nieskończoną aksamitną głębię i poić tą rozkoszą me oczy... pozwól podziwiać cud twej twarzy... twej postaci złudny sen niech mi śnić wolno będzie choć raz na tydzień... raz na miesiąc... rzadziej.. Nie szczęścia pragnę, ale w jego cieniu się ukryć pragnąłbym... choćby cień... cienia... Nadzieję nadziei.

Ona złożyła swe dłonie na mą głowę... jak anioł stróż. Podniosłem oczy na jej twarz, płakała.

Czwartek.

Dziś spotkałem ją w tem samem miejscu.

Dziwna rzecz; wyszedłem przypadkowo w tamtą okolicę i ona też znalazła się tam przypadkowo. Tak się wzajemnie zapewnialiśmy.

Po przywitaniu szliśmy, milcząc, obok siebie. Ona była jakaś smutna, zamyślona. Bladość zalała jej lica; oczy miała podsiniałe, przez co nabierały jeszcze bardziej tajemniczego wyrazu, niezbadanej głębi.

Starałem się nawiązać rozmowę, ale za każdą próbą dawała mi ręką znak abym milczał. Myślała nad czemś.. Czyniła wrażenie, jakby śniła jeszcze... przerwany brzaskiem dnia... przedziwny sen

Szliśmy milcząc.

Zrazu słońce świeciło wesoło, zalewając wszystko swym złotym blaskiem, potem jęło się kryć za chmurki białe, jak łabędzi puch. Z chwili na chwilę chmurek przybywało, łączyły się, ciemniały aż gdzieś, zdało się, na krańcu widnokręgu, jakby z ponurych morskich toni potężna się wyłoniła chmura, burzą brzemienna. Gwałtownie zaczęło się ściemniać, a zimny wiatr płynął silną od rozkołysanego morza falą, zasypując nas masą drobniutkich kropelek. Zaczęliśmy uciekać w stronę portu.

Łodzie szybko dobijały do brzegu. Zaczęło grzmieć i deszcz lunął ulewny. Pioruny biły bez przerwy.

Zaledwie burza minęła, opuściliśmy nasze przygodne schronisko. Chciałem, aby wracała do domu. Była zziębnięta, przemoczona.

Nie chciała słuchać.

Słońce znowu się ukazało, tylko stokroć piękniejsze, niż przedtem. Takie jasne, ciepłe, brylantowe. Morze cichło z powrotem. Fale białą pieniące się pianą skrzyły się w słońcu.

— Pojedziemy! — rzekła Lili.

— Gdzie? — zapytałem zdumiony.

— W morze.

— Ależ... zimno jeszcze, można się przeziębić.

— Więc jadę sama! — rzekła niecierpliwie.

— Nigdy!

— Więc... ja muszę, muszę — mówiła jakaś podniecona — jechać tam daleko... daleko... do tego słońca. Słońce... słońce... przedziwną muszę wyśnić baśń... taką, bym mogła w niej żyć — szeptała, jakby do siebie.

Byłem prawie przestraszony, ale nie śmiałem protestować.

Płyniemy.

Łódź się kołysze, gwałtownie się pochylając. Lili usiadła na samym kraju. Oka z niej nie spuszczałem... Drżałem na myśl, że może... ale nie... Po chwili uspokoiła się.

Usiadła na ławeczce obok mnie. Drżała ze zimna, więc okryłem ją płaszczem starego marynarza. Nie chciała się zgodzić, widząc, że i ja trzęsę się z zimna, Okryliśmy się oboje.

Siedzieliśmy, tak jedno obok drugiego, tak blizko, blizko siebie, że czułem jak krew krążyła w jej śnieżnem ramieniu, jej krew gorąca...

Tak siedzieliśmy przytuleni, że zdało mi się, że to sen... to sen wymarzony. Zdawało mi się, że ona moją już, na zawsze.

— Kochanie me! — szeptałem — ślicznotka!.. moja... moja.

Tuliłem ją do siebie, w pół mimowoli objąwszy, całowałem pachnące złote włosy, czoło wysokie, dumne.

Z pod przymkniętych powiek smutek wycałować chciałem, ustami łzy wypić wszystkie, by nie zaznała, co boleść smutku, co łez gorycz.

Usta jej, jak dwie dojrzałe jagody, te cudne wązkie, rubinowe usta, drżały... pochyliła się głowa moja, a usta dotknęły ust... i piły... piły... nienasycone, wiecznie pragnące. A ona była cicha, oddana.

Śmiertelne znużenie mię opanowało, traciłem pamięć. Głowa rozpalona osunęła się na jej cudne piersi...

— Mojaś ty... mojaś... aniele mój — szeptały usta spalone — kocham... kocham cię... Liluś, Liluchno ma... Za ciebie życie... ty kwiecie życia mojego...

A ona oczy miała przymknięte... usta wciąż drżały... smutek miała w twarzy.

Szepnęła:

— Mów... mów mi... mów... kocham cię...

I szeptałem posłusznie... po tysiąc razy:

— Kocham... kocham... kocham...

CZĘŚĆ III.

I.

Dłużyły się dni Adamowi w Krakowie. Wlókł się czas dziwnie wolno, jakkolwiek powrócił już całkowicie do swych codziennych, zwykłych zajęć. Przygotowywał się do egzaminu, uganiał za korepetycyami. Czynił to wszystko, jak dawniej, a jednak... czegoś w tej pracy brakowało; tego spokoju, równowagi, zapału, którym się pracuje wytrwale, do pewnego upatrzonego dążąc celu.

Otóż tego celu zaczynało Adamowi brakować, a przynajmniej przestał być jasnym i oczywistym jak dawniej, uległ zatarciu w całej mgle planów i projektów. Stracił go z oczu. Odtąd zaczynały mu dotychczasowe zajęcia ciążyć, stały się dlań wstrętne i nudne. Zaczął marzyć o szczęśliwszem życiu, więcej w niem chciał szukać poezyi. Coraz częściej nawiedzała go myśl, aby rzucić całe dotychczasowe życie i zostać artystą dramatycznym, wstąpić do teatru, zasłynąć.

Niejednokrotnie dziwił się sam sobie, obserwując zmiany, jakie w nim zaszły w ciągu tych dni niewielu. Dziwił się nawet swoim poprzednim zapatrywaniom, zaczął uważać je za dziecinne, naiwne.

Wieczorne tylko chwile marzeń nie uległy zmianie. Zawsze te same, ciche, melancholijnie smutne. Tylko miejsce nieuchwytnego ideału rojeń i snów, zajęła Lili.

Ta biała, śliczna, drobniutka Lili.

To wypieszczone książęce dziecię... Bieluchna Liluśka, w mgłę spowita nieuchwytną. w długich marzeniach wyidealizowana, wszelkich ludzkich cech pozbawiona, bez plamki i cienia, nadziemska istota...

Lili...

Anioł...

Stała się dla niego czemś drogiem i świętem, czemś, czego nie wolno nawet w myśli splamić, do czego można się modlić i zanosić prośby o wszystko, co piękne i jasne, świetlane i czyste.

Lili...

Kobieta-złuda, sen cudny — szczęściem tchnąca.

Do niej się modlił w te długie godziny, szarą jesienią. Do niej myśl biegła stęskniona, śladem unoszącego się błękitnego dymu z palonego papierosa.

Ileż godzin przesiedział tak w krześle. Ileż pieściwych wyszeptał słów... cichych słów skargi.

A ona?

Bawiła w Wiedniu. W powrocie z Kołobrzegu, zaledwie jeden dzień zatrzymawszy się w Krakowie, pojechała z ojcem do Wiednia. Nic nie pisała.

To go bolało.

Czyżby to był już koniec tej cudnej pieśni?

Ta myśl go męczyła i pozbawiała snu. Przybladł, stracił zupełnie humor do tego stopnia, że stało się to aż nazbyt widocznem.

— Bój się Boga, co się z tobą dzieje — pytał go, seryo zmartwiony przyjaciel, Jaś Gotwicki. — Jesteś chory?

— Nie.

— Mów! Może masz jakie zmartwienie?

— Nie.

— No, więc... nie, wiesz, nie pojmuję, co ci się stać mogło. Zapominasz o świecie bożym, twoi chłopi nawet zauważyli, że ich zaniedbujesz. Mówili mi, żeś pewnie chory, że źle wyglądasz.

— To wszystko fraszka! Przejdzie... nie warto mówić nawet.

— Może ty jesteś zakochany nieszczęśliwie?

— Ech, cóż znowu — żachnął się Adam, czując, że się czerwieni. — Znasz mię przecież, dziwię się przeto, że mię o coś podobnego posądzasz.

— Daruj!... Naturalnie, przecież nie raz podziwiałem cię. Ale... wiesz, przyszło mi na myśl...

— No?

— Ee... głupstwo.

— No, powiedz, powiedz! Pewnie coś strasznego! — próbował się uśmiechnąć.

— Mówmy o czem innem. Czy masz dość korypetycyi?

— Aż za dużo.. ale powiedz-że co chciałeś... no...

— Wiesz, przyszło mi na myśl, żeś może zakochał się w księżniczce.

Adam zaczerwienił się.

— Nie zdziwiłbym się nawet. Śliczna osóbka. Te usta...

Te usta — odezwało się w mózgu Adama — te czarowne usta!

Adam czuł, że robi mu się słabo.

Jaś mówił dalej jakimś zmienionym głosem.

— Te usta rozkoszne... ale to niebezpieczna gra.

— O ile?

— Czasem takie amory kończą się kulą w...

— Ooo... Aż tak?

— A tak... ileż razy!

— Na przykład, któż ten naiwny szaleniec? — zapytał z fałszywą ironią Adam.

— Tylko, proszę cię, słowo.

— Ależ, naturalnie.

— Twój poprzednik.

Adam zbladł.

— Jakto?!

— Ano najzwyklej w świecie. Nabił rewolwer i pewnego cudnego ranka strzelił sobie w łeb.

— Pleciesz, mój kochany! Przecież stwierdzono nagłą śmierć na serce.

— No tak, to prawda! Stwierdzono, ale... fakt faktem, wiem to z pewnego źródła, inaczej nie mówiłbym plotek. W każdym razie dałeś słowo.

— Ależ...

— O tem nikt prawie nie wie, prawie nikt... kilka osób zaledwie.

— Ale, jakże się to stało?

— Bardzo prosto. Zakochał się, jak szaleniec... no i w przystępie miłosnego szału oświadczył jej swą miłość... dotychczas pięknie.

— A ona? — zapytał Adam porywczo.

— Ona? — mówił już spokojnie Gotwicki — ona... nie wiem, co mu odpowiedziała, wiem tylko tyle, ale to już nic pewnego, że chwycił ją w ramiona i chciał całować... i oberwał książęcą odprawę... tęgi policzek. To działo się wieczorem w parku... a rano znaleziono go na tem samem miejscu z roztrzaśniętym mózgiem.

— To dziwne! — rzekł Adam bezmyślnie, chcąc pokryć zdenerwowanie.

— I ciebie byłbym tam nie wysłał, ale wiem przecież, że na ciebie to nie działa.

— Dobranoc! — rzekł raptownie Adam, ochrypłym głosem.

— Dokąd tak nagle?

— Idę!

— Ale dokąd?

— Do siebie.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z teatru wojny: Następca tronu, arcyksiążę Karol Franciszek Józef, na froncie armii w Królestwie Polskiem.



Z teatru wojny: Niemiecka łódź podwodna zatrzymuje okręt angielski.

Kronika tygodniowa.

Myślałem, że bodaj w tym tygodniu uda mi się rozpocząć wielkopostne medytacye, zwłaszcza, że minęło już środopoście, niestety, w głowie mam ciągle jeszcze karnawał, tym razem przecież, dla odmiany, koci.

Jak Szanownym Czytelnikom wiadomo, mamy już marzec, a miesiąc ten przeznaczony jest na kocie amory, na czem najgorzej wychodzi rodzaj ludzki, najlepiej myszy. Ludzie dlatego, iż dzięki kocim kwikom spać nie mogą, myszy zaś radują się, iż dla nich nadszedł właściwie karnawał, zakochany bowiem kot (każdy z nas wie to z własnego doświadczenia) nie myśli wcale ani o jedzeniu, ani o piciu, tem bardziej zaś o łowieniu myszy, ale jeno ciągiem wzdycha, miauczy, ogonem kręci i oczyma z uczuciem wywraca.

Niżej nie podpisany, jako liczący się do rodzaju ludzkiego, klnie więc razem z innymi na cały koci ród, obiecując mu zemstę za nieprzespane noce, ma jednak i drugi, ważniejszy nawet powód do irytacyi. Rozzuchwalone myszy dobierają się nie na żarty do wojennych zapasów, lekceważąc sobie wszelkie ogłoszenia, rozporządzenia, zakazy i pouczenia władzy, iż na razie od jedzenia wstrzymać się należy. Jaką zaś plagą są te, choć małe, ale nieznośne gryzonie, niech będzie dowodem, iż w jednym znajomym domu złapało się w przeciągu dwu dni tylko ośm okazów opasowych!

Aż żal było je topić! Ongiś w Paryżu za jedną sztukę można by było dostać bodaj pół franka. Jednego dnia mysie ogonki w pasztecikach, drugiego potrawka z myszy na kwaśno z kaparkami.

Ba, ale na tem jeszcze nie koniec! Ponieważ w kocim kalendarzu zaznaczony jest widocznie czas ochronny na myszy, dają się one we znaki nawet redakcyom, słyszałem też z pewnego i to bardzo źródła, iż zakradły się do biurka jednego z naczelnych redaktorów i pogryzły cały plik nastrojowych utworów. Czy im to wyszło na zdrowie, nie wiem, w każdym razie wątpię. Ja czytuję czasem różne impresye, a już mi się źle robi, cóżby było dopiero, gdybym je zjadł! Wartoby się zastanowić, jaki byłby skutek.

Wszystkiemu temu winny jednak koty! Sam widziałem pewną redakcyjną kotkę w towarzystwie bardzo podejrzanej konduity kocura i aż złapałem się za włosy! Niestety, skończyło się na niczem, strzecha moja przerzedzona jest nielitościwie grzebieniem czasu i, miast czupryny Absalona, świeci tam potężna łysina. Z tego wynika, iż nie było się za co złapać!

Może to jednak i lepiej! Wiadomo każdemu z biblii, iż Absalon powiesił się pono na czuprynie, a ja jestem właśnie w tem stadyum, w którem człowiek usposobiony jest stanowczo samobójczo.

Niechaj jednak nie posądzi mnie kto o to, iż może ów koci karnawał tak przygnębiająco na mnie podziałał... Broń Boże! Jako leciwy i całkiem zrównoważony obywatel jestem już nieczuły na wszelkie pokusy, *ergo* nie potrzebuję wcale, jak ś. p. Zagłoba, puszczać sobie krwi na wiosnę. Przebaczyłem także i myszom, irytuje mnie natomiast pogoda.

I, temu nikt się chyba nie będzie dziwić, miałem już ochotę powiesić się z rozpaczy, zrezygnowałem przecież z zamiaru, gdyż nie miałem nigdy i nie mam i teraz „wyższych aspiracyi". Wściec ze złości także się nie opłaci, choćby tylko ze względu na zakaz miejskiego fizykatu, który tego stanowczo odradza, a nawet opornym grozi surowemi karami.

Bo i któż myślał, że tego roku, właśnie wtedy, gdyśmy się spodziewali już wiosny, będziemy mieć akurat zimę?

Gdybym bodaj był amatorem sportu saneczkowego, nicbym nie mówił, wiedzą przecież Czytelnicy i Czytelniczki, że, owszem, jestem wrogiem tego rodzaju kręcenia sobie karków i wybijania zębów. Jeśli się to ma już stać czyimś udziałem, niech się stanie w sposób naturalny.

W atmosferze, zaznaczyć przecież należy, coś się popsuło. Prawdopodobnie referenta od niej właściwego powołano do służby wojskowej, zastępuje go zaś ktoś niefachowy, który o robieniu pogody ma takie akurat pojęcie, jak, nie przymierzając, ja o chińskiej gramatyce!

Dawniej, według starego przysłowia, jeździł sobie święty Marcin na siwym koniu, dziś chodzi piechotą, w kaloszach i pod parasolem, zamiast niego wstąpił zaś do kawaleryi św. Kazimierz i pokazał się nam na siwku.

Co to zaś za radość była między saneczkarzami, gdy śnieg zaczął padać, a mróz brać, niczem w grudniu! Kto żył, cieszył się, że w niedzielę użyje przyjemności sportowej, nie zawiódł się też tym razem! Podążyła pod kopiec Kościuszki gromada młodych i starych, tłustych i chudych, nie brakło nawet ślepych i kulawych!... Jedni brali czynny udział w saneczkowaniu, inni przyszli, by paść swe oczy cudzem nieszczęściem i śmiać się „z cudzego upadku".

Było zaś co widzieć! Tu poważny filozof zapomniał o Homerze i Herodocie i leci z góry na dół na złamanie karku, tam urocza panienka pokazuje, co umie...

Uradowało się przecież serce moje, ale nie na widok, gdyż tam nie byłem, lecz na wieść, iż pewnej niewieście młodzian jakowyś niezgrabny, obcasem szczękę naruszył, nie wiem przecież, czy to była szczęka naturalna, czy sztuczna... Jakkolwiek jednak było, wyobrażam sobie jej zmartwienie, gdy przez jakiś czas pozbawioną będzie biedna kobieta przyjemności mówienia!...

Kobiety zaś w tym wypadku są strasznie nieszczęśliwe! Zdarzyło mi się niedawno, iż sąsiadka moja od samego rana do samej nocy tak wymyślała bez ustanku, że nawet mnie to, choć z natury nie jestem ciekawy, zaintrygowało.

Pytam więc jej męża, gdym go spotkał, co mogło być powodem jej irytacyi. Odpowiedział:

— Ano! Moja Basia gniewa się, bo jej lekarz zakazał mówić!

Taka to też i nasza młodzież dzisiejsza! Dawniej młodzian, spotkawszy na drodze swej podwikę, piekł raczka, lato było, czy zima, dziś, nie zważając na wiek, obcasem uszkadza szczękę, niechby nawet sztuczną, a może jeszcze nie zapłaconą!

Gniewa mnie jednak, iż absolutnie nie można wierzyć starym, wypróbowanym przez ojców przepowiedniom meteorologicznym. Święta Barbara wykiwała nas w grudniu, mróz w dzień Matki Boskiej Gromnicznej zawiódł nas także i dzisiaj żal mi tego niedźwiedzia, o którym pisałem, że rozwalił swą budę. Musi biedak marznąć, ale jest o tyle w lepszem od nas, ludzi, położeniu, że nie potrzebuje wykupywać na gwałt futra ze zastawu. Świętemu Maciejowi biorę za złe, że przyłożył do tego rękę w myśl starego przysłowia, które mówi: „Święty Maciej zimę traci, albo ją bogaci".

I wzbogacił ją, ale zupełnie niepotrzebnie. Kto wie, czy na Zielone Święta nie pojedziemy saniami na Bielany, w każdym razie, na wszelki wypadek, już dziś zamówię sobie sanki na Emaus u Żeglikowskiego.

A ile wycierpią przez tę zimę nadprogramową biedne, romansujące na dachach, kotki? Żal mi ich, lecz im nie poradzę nic na to. Niech cierpią... Ale one sobie nic z tego nie są robiące, boć: „Serce nie sługa, nie zna, co to pany"...

W marcu zaś u kotków właśnie serce i nic, tylko serce w grę wchodzi.

Cieszmy się jednak nadzieją, że połowa marca już dobiega, koci karnawał prędzej się zaś skończy, bo się wcześniej wyjątkowo zaczął. Nawet we wschodniej części kraju nie zważały kotki na różnice kalendarza.

Ale, jak powiada Rusin „kuždaja ricz maje i swoju szatenzatu"... Ma ją więc dla nas i marzec, bo się skończy, a po nim nastąpi kwiecień. Na kwiecień zaś, w samym początku, przypadają Święta Wielkanocne, połączone z coroczną rzezią niewiniątek, co to ryjkiem otwierają sobie furtkę i czasem „dzień dobry!" mówią do okienka, ale tylko wtedy, jeśli ono jest nizko umieszczone.

Tak! Wielkanoc się zbliża, a na każdym z ojców rodzin cierpnie skóra i kurczy się ze strachu serce i pugilares. Znów żona zażąda kredytów nadzwyczajnych, a tu wszystko takie drogie! Jedne, jedyne, po obywatelsku usposobione kurki jakoś nam idą na rękę i znoszą jaja (sześć centów sztuka, czasem śmierdzące!... przyp. zecera), są z tego jednak dumne, że... nie przystępuj do nich bez kija! One wiedzą, jakie już położyły i jeszcze położą zasługi, najnowsza taryfa maksymalna wyrwała im też pełne uznanie, nie podnosząc ceny jaj. Lecz jaja same nie wystarczą! Na święta trzeba i świńskiego ciała i różnych bałabuchów z zakalcami i bez, co zaś najważniejsze, wilgotności różnego rodzaju.

Grozi nam zaś brak piwa, gdyż ograniczono wyrób słodu, podobno jednak nie powinniśmy się obawiać, by nam brakło wina.

Jak bowiem wyraził się jeden z krakowskich grosistów:

— Póki wodociąg miejski jeszcze funkcyonuje, fabryka w mej piwnicy nie ustanie!

Biedni więc jesteście ojcowie rodzin i ja jestem także w tem samem położeniu! A jest ono tem gorszem od lat poprzednich, iż część zacnych obywateli i obywatelek miasta Krakowa (dzielnica Kazimierz i Stradom), którzy czasem lubieli człowiekowi w czarnej godzinie dopomódz, czyli, używając wyrażenia technicznego czarnej giełdy, „wygodżycz", już się wyewakuowała, lub lada dzień się wyewakuuje.

Zresztą to wstrętne moratoryum!

Póki więc czas, należałoby zwołać jakąś komisyę lub ankietę, któraby się poważnie nad tem zastanowiła, jak zaradzić złemu. Jeżdżą po mieście wozy, zbierające dla potrzebujących starą garderobę, opłaciłoby się może postąpić w ten sam sposób i zapelować do publicznej ofiarności, a możeby się zebrało coś zapasów dla łaknących i pragnących święconego, nie mających zaś na to.

Miałem zamiar rozpisać w tej sprawie kwestyonaryusz do wszystkich mych P. T. Czytelników, z prośbą, by się wygadali, ewentualnie wypisali, co myślą. Płacący prenumeratę mogliby pisać całkiem *gratis*, nie płacący byliby obowiązani dołączyć do swego pisma odpowiedni allegat pod postacią kiełbasy, szynki, flaszki wina i t. p. W ten sposób nie potrzebowałbym się troszczyć, skąd wziąć pieniędzy na ten cel i kto wie, czy nawet nie podzieliłbym się z potrzebującymi, nie chwaląc się bowiem, zaznaczyć muszę, iż bardzo chętnie widzę gości u siebie i przyjmuję ich po staropolsku, żałując przecież bardzo, iż minęły już te dobre czasy piastowskie, kiedy u ś. p. Rzepichy mnożyły się w cudowny sposób zapasy stałe i płynne. Ona mogła się śmiać z aprowizacyi, choćby nawet kazano się zaopatrzyć nie na sześć miesięcy, ale na sześć lat!

Ale cóż! Mojej żonie na imię Weronisia, nie zaś Rzepicha, a do tego w posagu nie wniosła mi takich czarodziejskich półmisków i dzbanków!

Tak! tak! Stanowczo lepsze to były owe dawne czasy, kiedy to nie znano jeszcze saneczek i innych tego rodzaju nowomodnych wymysłów.

Z kronikarskiego obowiązku wypada mi zanotować, iż w dniu 3. marca b. r. obchodziliśmy w Krakowie bardzo sympatyczny jubileusz, o którym codzienne pisma tylko półgębkiem wspomniały.

Było to sześćdziesięciolecie istnienia jednokonnych dorożek, *vulgo* dryndą, które cieszą się w Krakowie zasłużoną sympatyą. Są wprawdzie malkontenci, bo gdzież ich niema, którzy porównują je z narzędziami męki, stosowanemi ongiś przez hiszpańską inkwizycyę, ja przecież twierdzę, że tak źle nie jest. Co najwyżej nocną porą wyjeżdżają „na plac" tego rodzaju stare klekoty, w których łatwo możesz roztrząść sobie kości, według opinii powag lekarskich wpływa to przecież bardzo dodatnio na organa trawienia, wskazanem więc jest po obfitym posiłku.

Aby uczcić tak podniosłą chwilę, postanowiłem przejechać się jednokonną dryndą i urządzić wywiad z woźnicą, starej daty bowiem krakowscy flakrzy, to kasta ludzi, jakich nie znajdziesz, choćbyś zjechał pół świata. Można na tem tle palnąć nawet impresyjkę p. t. „Z wrażeń rozklekotanego".

I trafiło mi się dobrze, spotkałem akurat taką dryndę jubilatkę, która z pewnością pamięta ową chwilę, gdy przed kopą lat jednokonki po raz pierwszy pojawiły się na ulicach Krakowa.

Łza rozczulenia zabłysła mi w oku! Myślą cofnąłem się w owe czasy, gdy zdobna dziewiczą świeżością z dumą toczyła się po miejskim bruku i jego wybojach. Jaka różnica między dziś, a owem wczoraj z przed lat sześćdziesięciu!... Odrapana i ustawicznie stękajaca za każdem poruszeniem potrafiłaby wzruszyć nawet najbardziej zatwardziałe serce!

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył W. M.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Środkowy rząd, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko polskiego bohatera

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —
— — — — □ — — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1 Spółgłoska. 2. Zmiana księżyca. 3. Termin matematyczny. 4. Belka 5. Poeta polski 6. Urzędnik 7. Część szabli. 8. Pokarm dla bydła 9. Nazwa litery. 10. Samogłoska.

Zadanie konikowe.

Ułożył Miecio z Liszek.

w o	a	cie	gdyś	ha	wro	ły	wiek
ży	za	fie	choć	li	rze	bo	tnie
rze	swe	nął	te	po	fie	prze	Jó
wol	dał	w śla	ha	mi	tu	ja	nasz
dy	te	uość	nie	ko	cię	ze	śmierć
od	w nie	bo	już	wie	rze	te	re
rze	twe	lu	wo	nął	fa	na	ste
my	li	spły	szło	wiek	w El	któ	le

Równanie.

Ułożył Sz. Kiliński, Nowy Jiczyn.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć tyle zgłosek, ile ich wskazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu nazwisko polskiego powieściopisarza, w drugiem tytuł jego utworu.

$$\frac{a}{2}+\frac{b}{2}+\frac{c}{3}+\frac{d}{3}=x$$

$$\frac{m}{3}+\frac{n}{3}+\frac{o}{2}+\frac{p}{2}=y$$

Znaczenie wyrazów: a) Część wozu. b) Imię żeńskie c) Poeta polski. d) Polski powieściopisarz m) Góry we Francyi. n) Część rośliny. o) Inaczej poręczyciel p) Wyrób z mąki.

Łamigłówka.

Ułożył grzeczny Miecio z Liszek.

Podane wyrazy uzupełnić. Litery wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą miejscowość, gdzie stale nie wiedzie się Moskalom.

— aga
— zaw
— yta
— wan
— leg
— yga
— zor
— ary
— mos
— eno
— ral
— awa
— ara
— ara
— dzi
— ryk.

Zagadka syllabowa.

Ułożył Sz. Kiliński, Nowy Jiczyn.

Z podanych zgłosek ułożyć szereg wyrazów o podanem znaczeniu. Początkowe ich głoski, czytane z górv na dół, utworzą nazwisko polskiego powieściopisarza, zarazem autora wielu bardzo popularnych komedyi.

a, ba, cy, dam, dy, ga, i, kra, ło, na, ral, ran, re, tra, u, wiec.

Znaczenie wyrazów: 1. Zwierzę domowe. 2 Imię męskie. 3 Część rośliny. 4 Góry w Rosyi. 5. Instrument muzyczny. 6 Rzemieślnik. 7. Imię żeńskie.

Przysłowiówka.

Ułożył Sz. Kiliński, Nowy Jiczyn.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie:

en, wór, nów, rym, ruda.

Bilety wizytowe.

Ułożyła „Piękna", Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć zawód, względnie godność poszczególnych osób

AARON AUTE

N. W. ROYSKI.

J. ANTONI PLEYCYJ.

Z. ŻRENIOŁ

IRA B. RZEŹKA.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Michała Synoradzkiego*. **Stara miłość... nie rdzewieje.** Powieść z XVIII wieku.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 9.

Zadanie do przestawienia: Kto nie dołoży okiem, ten dołoży workiem.

Zadanie królewskie:

Nad Polską słońce poranne płynie,
Nie nad żyznymi pola rozłogi,
Bo same pustki, trupy, pożogi
W błogosławionej Piastów krainie.
Kędy przeleci Tatarzyn dziki,
Szlak swój naznacza krwi polskiej falą,
Co noc, to szerzej łuny się palą,
Co dzień straszliwsze rozpaczy krzyki.

Zagadki: Uciecha Wawel. Zakroczym.

Szarada: Koniczyna.

Figielek: 1) Żydka rabin niesie. 2) Na bal konie chodzą

Łamigłówka:

Ems
koń
osa
oko
wal
Eli
rek
Abo
Nil
nos
era
bąk
ach
kit
sęk
aga
bił

Logogryf:

Z
S ó l
K u ł a k
C y r k i e l
G a l i c y a
K o n e w k a
K r a w i e c
R o s y a
O k a
i

Logogryf:

O r g a n i z m
R a m a j a n a
Z a n z i b a r
E u m e n i d y
S a b a u d y a
Z i a r n i a k
K a r t h a g o
O r m i a n i n
W a t e r l o o
A u t h o t y p
E n d y m i o n
L e m a ń s k i
I z o l u j ą c
Z a k o n n i k
A n t y g o n a

Dobre rozwiązania nadesłali Pp. J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane M. Wyka Kraków, D. Ligęza Tarnów, D. Sedyńska Krakow, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Przemyśl, F. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno. S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Przemyśl, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń. K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Tarnów, S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, A. Gralewski Kraków, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor.-Ostrawa, S Grodzicki Praga, L. Kinalski Praga.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Roland, Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Zarząd Główny Macierzy Szkolnej w Cieszynie donosi, że z powodu nieprzyjmowania listów przez pocztę rosyjską, lecz tylko kart korespondencyjnych i to z państw neutralnych, nie powinno się nadal przesyłać do Galicyi wschodniej, ewentualnie do innych krajów i państw, listów. Aby jednak utrzymać możność porozumiewania się naszych rodaków-uchodźców i nadal z ich rodzinami we wschodniej Galicyi, ewentualnie i innych krajach i państwach, Zarząd Główny Macierzy Szkolnej zamówił karty korespondencyjne poczty rumuńskiej, po które, chcący je nabyć, zechcą się zwrócić za kilka dni pod podanym wyżej adresem, dołączając znaczek pocztowy za 20 halerzy. Zatrzymane z powyższego powodu do przesyłki do Galicyi wschodniej, względnie innych krajów i państw, listy po otrzymaniu z Rumunii pocztowych kart korespondencyjnych zwróci się nadawcom celem przepisania ich.

Wystawa obrazów malarzy polskich. P. T malarzy polskich, pragnących wziąć udział w wystawie obrazów, urządzonej w Pradze w połowie marca b. r., staraniem sekcyi oświatowej Komitetu Wychodźców galicyjskich, upraszam, by zechcieli łaskawie podać adresy swoje, oraz ilość i rozmiary obrazów, które wystawić zamierzają, najdalej do końca b. m. t. j. do 28 lutego, pod moim adresem. Osobne zaproszenia nie będą wysyłane Dr. inż **Władysław Floryański, Praha, Smichov,** ul. Ticha č. 5.

... St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego